

H HARLEQUIN[®]
TM

MEDICAL

Joanna
Neil

Wyspa niespodzianek



Joanna Neil

Wyspa niespodzianek

Tłumaczenie:
Anna Sawisz

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Nareszcie. Gdy długi na ponad osiemnaście metrów katamaran płynnie ustawił się przy nadbrzeżu portu, Rebecca westchnęła z ulgą. Z pokładu dobiegły ją nastrojowe dźwięki kalipso i od razu poczuła się lepiej. Długo i cierpliwie czekała w kolejce, prawie mdlejąc od upału, ale się doczekała. Przed nią ostatni etap podróży na przepiękną karaibską wyspę St Marie-Rose.

Tuż przed nią jakiś mężczyzna na widok zbliżającego się statku rozprostował kości. Zauważyła go już wcześniej. Zresztą trudno byłoby go nie zauważyć. Stał nieco z boku – wysoki, muskularny, lekko opalony, wysportowany, w białym, podkreślającym szerokość ramion i rzeźbę mięśni T-shircie i jasnych spodniach typu chino. Przedtem rozglądał się dookoła, taksując wzrokiem otoczenie, ale teraz wyglądał na zamyślonego, co wyróżniało go spośród podnieconego przybiciem statku do nadbrzeża tłumu kolejkowiczów.

Być może poczuł na sobie jej wzrok, bo nagle odwrócił się i popatrzył na nią. Ich spojrzenia na ułamek sekundy się spotkały. Otaksował jej smukłą, acz niepozabawioną apetycznych krągłości sylwetkę oraz opadającą na ramiona burzę loków w kolorze miedzi. Przez chwilę wyglądał na oszołomionego, jakby trudno mu było oderwać od niej oczy.

Poczuła, że robi jej się gorąco. Odwróciła wzrok, zakłopotana faktem, że została przyłapaną, jak się na niego gapi. Ale to było silniejsze od niej, on miał w sobie coś takiego... Pomyślała, że raczej nie wygląda na wyluzowanego w pogoni za słońcem turystę.

Zresztą o niej można by powiedzieć to samo. Nie była entuzjastką podróży, ani trochę. Pół doby unieruchomienia w samolocie, potem pęd taksówką do tego portu... Dobrze, że został jej już tylko ostatni odcinek do przebycia. Przynajmniej taką miała nadzieję.

Było już późne popołudnie, dobrze byłoby przed nocą dotrzeć do domu. Przy odrobinie szczęścia zastanie tam swoją siostrę Emmę, która z pewnością zgotuje jej serdeczne powitanie. Na tę myśl Rebecca ożywiła się. Dobrze będzie znów zobaczyć się z siostrzyczką.

Bo dotąd plan zawodził. Miała lecieć bezpośrednio, a tymczasem musi teraz czekać na prom, który przez wzburzone błękitne morze powiezie ją z tej – zresztą przepięknej i po tropikalnemu zielonej – Martyniki do właściwego celu podróży.

Kolejka zaczęła powoli posuwać się do przodu.

– Wygląda na to, że nareszcie wejdziemy na pokład – odezwał się obok niej męski głos. – Uff, najwyższa pora!

Spojrzała na mówiącego. Prawie jej rówieśnik, wyglądał na jakieś dwadzieścia

pięć lat. Ona ma dwadzieścia sześć. Uśmiechnięty blondyn z niebieskimi oczami. Ubrany odpowiednio na upały - T-shirt i spodnie do połowy łydki. Do tego dobry humor - pewnie wraca z przyjaciółmi z jednodniowej wyprawy na Martynikę. Stojący obok trzech młodzi mężczyźni rozmawiali z ożywieniem.

- Prawda? - zwrócił się do niej, wskazując ręką statek. - A tak przy okazji, jestem William. William Tempest.

- Rebecca Flynn... - odrzekła cicho. - Mówią do mnie Becky.

- Cześć, Becky. Mam nadzieję, że na pokładzie jest jakiś bufet. Co byś powiedziała na coś do picia? Zapraszam. Nie, to nie podryw - wyjaśnił pośpiesznie. - Może w innych okolicznościach... Ale wyglądasz na lekko wykończoną, więc pomyślałem, że trzeba ci czegoś kojącego i poprawiającego nastrój. Może jakiś sok z lodem? Dają tu świetny miks pomarańczy i mango.

- Naprawdę?

A więc jej mizerna kondycja jest ogólnie widoczna. Ciekawe, jakie są jej oznaki? Rozgrzane policzki czy może przyklepione do skroni spoczone kosmyki? Powinna była jeszcze w samolocie upiąć włosy.

Nie wiedziała, czego można się spodziewać na pokładzie promu na Karaibach, ale po słowach Williama zwilżyła rozpalone wargi końcem języka.

- Coś chłodnego do picia... Bardzo mi się przyda - odezwała się po namyśle. - To trochę za duża przygoda jak na moje możliwości.

- Wakacje?

- Coś w tym stylu. Powiedzmy, że raczej trochę więcej niż kilka dni wolnego. Coś mi poszło nie tak i potrzebowałam wyjazdu.

- Naprawdę? Tak mi przykro. Ze mną jest podobnie, niedawno zerwałem z dziewczyną. Usiłuję zapomnieć, ale to nie takie łatwe.

- Owszem. Dobrze wiem, co czujesz.

Gawędząc przyjaźnie, weszli po trapie na pokład statku.

Jakie to dziwne... Od razu przypadł jej do gustu w czysto platoniczny, zupełnie nieszkodliwy sposób. Jej angielski dystans do ludzi gdzieś się zapodział, stopniał w tropikalnym słońcu.

Może uderzył jej do głowy karaibski klimat? A może rozluźniła się pod wpływem energetycznych rytmów dochodzącej z pokładu muzyki? Tak czy owak wszelkie zahamowania ustąpiły pod naporem wizji oszronionej szklanki z czymś do picia. Cokolwiek by to miało być.

William rozejrzał się.

- Gdzie chcesz usiąść? Pod pokładem czy może wolisz mieć widok na morze?

- I jedno, i drugie - uśmiechnęła się. - Nasiedziałam się w samolocie, teraz z chęcią rozprostuję nogi, pochodzę z miejsca na miejsce, poodycham świeżym powietrzem.

- Brzmi to nieźle - przytaknął. - Przed nami godzinny rejs, więc będziemy mogli się lepiej poznać.

Był przyjacielski i otwarty. Rebecca szybko spostrzegła, że odpowiada mu tym samym, otwiera się jak kwiat w promieniach słońca. Co w tym dziwnego? W koń-

cu przyznał, że jest po przejściach i ona może mu się odwdzięczyć własnymi zwierzeniami. To prostolinijny i towarzyski chłopak, czegoż chcieć więcej?

- Co cię tak zdołowało? - zapytał.

- No, parę spraw. Zachorowałam i mój chłopak się z tym nie wyrabiał.

- A to gnida. To musiało być dla ciebie ciężkie.

- Było...

Między nią a Drewem psuło się już od jakiegoś czasu. Dużo ją to wszystko kosztowało... Na to nałożyły się kłopoty zdrowotne. Miała operację wyrostka, wywiązały się komplikacje. Zapalenie otrzewnej omal jej nie zabiło, ale Drew nie okazywał jej najmniejszego wsparcia. Wylądowała w szpitalu, dwa tygodnie spędziła na oiomie.

Ale to nie był koniec problemów. Lekarze oznajmili jej, że może być bezpłodna, bo stan zapalny spowodował zrosty w jamie brzusznej. Dowiedziawszy się o tym, Drew ją rzucił. Była załamana, przytłoczona wszystkim, co ją spotkało. Jak dać sobie radę ze świadomością, że nigdy nie zostanie się matką?

Na to pytanie do dziś szukała odpowiedzi.

To była rozpaczliwa walka. Może więc przyszedł moment, aby wraz ze zmianą scenerii dać sobie trochę luzu? Nieważne, że zdecydowała się zawierzyć akurat Williamowi - on będzie przy niej tylko przez krótki czas.

Znalazła miejsce na jednej z ławek pod markizą, postawiła podręczną torbę na podłodze, a William poszedł po drinki. Za kontuarem pośrodku pokładu młodzieńcy o śniadej karnacji uwijali się, siekając owoce najrozmaitszego sortu - pomarańcze, melony, marakuje, limonki. Stały tam termosy z gorącymi napojami oraz dozowniki z sokami i automaty z chłodzoną wodą. Podkreśleniu wakacyjnej atmosfery służyły rozstawione na pokładzie w rozsądnym zagęszczeniu palmy w donicach.

Mężczyzna, któremu wcześniej przyglądała się w porcie, stał teraz przy barierce z założonymi rękami i spoglądał na morze. Gdy włączono silnik, spojrzał w jej kierunku i dostrzegł, jak William wręcza jej wysoką szklanekę wypełnioną zmrożonym sokiem.

Jego wzrok był niemal posepny, jakby przeszkadzało mu, że kręci się koło niej ktoś inny. Ale to przecież nie może być prawdą?

Z niejasnych powodów widok tego mężczyzny ją niepokoił. Może fakt, że trzymał się zawsze na uboczu, przywodził jej na myśl Drewa? Chociaż jej były nie dysponował tak imponującą posturą ani władcym spojrzeniem.

- Nim się nie przejmuj - odezwał się William, który musiał zauważyć jej zaniepokojone spojrzenie.

- A ty go znasz? - spytała zdziwiona.

- To mój kuzyn - potwierdził chłopak. - Był na Martynice w interesach. Teraz pewnie musi wszystko przetrwać na osobności.

- Aha, rozumiem... - Zmarszczyła brwi, usiłując zapomnieć o facecie i skupić uwagę na Williamie, z którym chętnie kontynuowałyby niezobowiązującą pogawędkę.

Był dobrym kompanem. Zabawny, dowcipny. W którymś momencie poderwał ją nawet do tańca przy rytmicznej, płynącej z pokładowych głośników muzyce.

Do reszty pasażerów, którzy od jakiegoś czasu poruszali się tanecznym krokiem, dołączali też koledzy Williama. Rebecca przekomarzała się z nimi, śmiała w głos, szczęśliwa, że chociaż na chwilę może się zrelaksować. Potrząsała włosami, spódniczka wirowała wokół jej ud. Od dawna nie czuła się tak swobodnie.

Gdy wybrzmiała ostatnia piosenka, z przyjemnością wsłuchiwała się w szum unoszących statek fal.

- Może postoiimy przez chwilę przy barierce? - zaproponował William.

Zgodziła się i z lubością wystawiała twarz na powiew chłodnej bryzy.

Stojący obok niej William nagle otoczył ją ramieniem i wskazał palcem miejsce, gdzie w pewnej odległości od statku dokazywało w krystalicznie czystej wodzie stadko delfinów.

Po karku przeszło jej coś w rodzaju ciarek i niespokojnie rozejrzała się. Mężczyzna przy barierce patrzył w jej stronę. Skinął jej głową, mrużąc oczy od słońca. Celowo się na nią gapi? A może obserwuje raczej Williama?

- Czy się jeszcze kiedyś zobaczymy? - Głos Williama przerwał jej dociekania. - Moglibyśmy się spotkać od czasu do czasu. Nie zrozum mnie źle. Wiem, że nie szukasz teraz nikogo, ja zresztą też, ale coś nas łączy. Oboje zostaliśmy zranieni, więc może moglibyśmy się zaprzyjaźnić?

- Bardzo chętnie.

Dobrze będzie mieć tu jakąś bratnią duszę.

Popatrzyła na błękitną wodę. Wyspa St Marie-Rose przybliżała się coraz szybciej. Wabiła pokrytymi zielenią górami, rozsianymi na pagórkach malowniczymi białymi domkami w cieniu drzew. Cudowne zaproszenie do złożenia wizyty.

- Gdzie będziesz mieszkała? - zapytał.

- W Zatoce Tamaryndowców. Moja siostra wynajmuje tam dom... no może raczej chatę. Miała szczęście. Miejsce jest zaciszne, tuż przy małej prywatnej marinie. Właścicielem jest jej znajomy.

Zmarszczył brwi.

- To zupełnie gdzie indziej niż ja. My z kolegami wynajmujemy mieszkanie na północy wyspy. Chociaż... - Twarz mu pojaśniała. - To wcale nie jest tak daleko. To nieduża wysepka. Można ją przebyć wzdłuż i wszerz w ciągu dwóch-trzech godzin. - Wyraźnie poweselał. - W Zatoce Tamaryndowców nie ma tak dużo barów czy klubów. Na pewno cię znajdę. A może dasz mi swój telefon? Postaram się cię pocieszyć. - Uśmiechnął się cierpko. - To znaczy... Cholera, chyba będziemy musieli pocieszać się nawzajem.

Kiwnęła głową i uśmiechnęła się w odpowiedzi, ale do niczego nie miała zamiaru się zobowiązywać. Nie miała nic przeciwko temu, by trochę się zabawić - byłoby miło. Ale przyjechała głównie po to, żeby spędzić czas z Emmą.

Katamaran dobijał do brzegu, ludzie przygotowywali się do opuszczenia go. Jednym z pierwszych wysiadających okazał się kuzyn Williama.

William pomógł jej nieść torbę. Rebecca przystanęła na chwilę i z radością

przyjrzała się linii brzegowej zatoki z szerokim pasem piaszczystej plaży i wyciągającymi się ku słońcu palmami, których zielone pióropusze powiewały na lekkim wietrze.

- Trafisz do siostry? - spytał William, gdy stali w tłumie pasażerów. - Zatoka Tamaryndowców jest o jakąś godzinę jazdy w kierunku południowym. - Troszczył się o nią, świadomy jednocześnie, że tuż obok czekają na niego koledzy. - Znajdę ci taksówkę. Albo jeszcze lepiej poproszę kuzyna...

- Nie, proszę, nie rób tego - przerwała mu pośpiesznie. - Nie martw się o mnie. Dam sobie radę. Idź do kolegów. Cieszcie się resztą wakacji.

- Okej... Ale jesteś pewna?

- W zupełności.

Oddalił się z ociąganiem, a ona zaczęła rozglądać się za wolną taksówką. Jakiś człowiek wcisnął jej do ręki ulotkę reklamującą wycieczki statkiem na pobliskie wyspy. Rzuciła na nią okiem. Z promu ciągle wysiadali nowi pasażerowie i podchodzili do czekających samochodów.

- Pomogę ci, lady, dobra? - odezwał się do Becky jakiś atletycznie zbudowany ciemnoskóry mężczyzna. - Ty potrzebujesz pomoc przy twoja torba, tak?

- Nie, nie, dzięki - odpowiedziała z niepewnym uśmiechem. Biura podróży ostrzegały przed oszustami i choć facet wygląda niewinnie, trzeba się mieć na baczności. Może gdzieś tam ma samochód, ale jego maniery nie wskazywały, by mógł być legalnym taksówkarzem. - Dam sobie radę, naprawdę.

Niestety, dużej walizki nie odebrała jeszcze z samolotu, ale miała przy sobie bagaż podręczny - sporą torbę.

Facet pokręcił głową.

- Ty mi dajesz pieniądze, ja ci noszę torby - powiedział i schylił się, by złapać uchwyty.

- Nie, nie, proszę tego nie robić... Dam sobie radę - powtórzyła, ale on jej nie słuchał.

- Zajmę się tym. Dla ciebie - powiedział.

- Nie... Wolałabym, żebyś tego nie robił.

Próbowała chwycić torbę, ale facet był szybszy. Z trudem złapała oddech. Co ma zrobić? Krzyczeć? Zadzwoić po ochronę? Gdzie tu, u licha, znaleźć ochronę?

Gdy spłoszone myśli przebiegały jej przez głowę, posępny mężczyzna z promu ruszył w jej kierunku. Podszedł do intruza tak szybko, że nie zdążyła mrugnąć okiem. Wyrwał mu jej torbę z ręki. Był tak zwinny, że nie mogła wyjść ze zdumienia, widząc to perfekcyjnie zbudowane ciało w akcji.

Jego stalowe spojrzenie rzucone młodemu człowiekowi było jak klinga.

- Pani chyba wyraźnie powiedziała, że nie chce twojej pomocy. A teraz ja ci mówię: zostaw ją w spokoju.

Nie ulegało wątpliwości, że nie żartuje. Świadczył o tym szorstki ton oraz ruch opalonej, masywnej szczęki. Nawet Rebecca - w końcu tylko niewinna obserwatorka - poczuła się nieswojo.

- Okej, okej. - Ciemnoskóry młodzieniec podniósł do góry dłonie w geście podania i się wycofał. - Nie chciałem jej zrobić nic złego. Już sobie idę.

Spuścił z tonu, kompletnie zaskoczony pojawieniem się nieoczekiwanego oponenta.

- Już nie będzie pani niepokoił - mruknął wybawca Becky, patrząc za oddalającym się intruzem.

- Też tak myślę - odparła, ostrożnie rzucając nieznajomemu wdzięczne spojrzenie. - Dziękuję. Właśnie się zastanawiałam, czy kręcą się tu jacyś ochroniarze. Pewnie nie. Jest dosyć spokojnie.

- Zazwyczaj jest. - Mężczyzna skrzywił się. - Ale wszędzie można znaleźć miłośników dodatkowego dochodu, nieważne czy do końca legalnego.

- Pewnie tak - odrzekła, wachlując się trzymaną w ręku ulotką, bo jakoś znów zrobiło się gorąco.

Jak on to robi, że zachowuje chłód i opanowanie? Pewnie po prostu jest przyzwyczajony do tutejszych realiów.

- A tak przy okazji, jestem Cade - przedstawił się, wyciągając w jej kierunku dłoń. - Kuzyn Williama. Może o mnie wspomniał.

Uścisk miał bardzo mocny. Przy takim człowieku można czuć się bezpiecznie.

- Rebecca - odpowiedziała. - Tak, wspominał. Jeszcze raz dziękuję za pomoc.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Spojrzał na nią uważnie. - Niechcący podsłuchałem fragment waszej rozmowy z Williamem. Mówiłaś, że zatrzymałaś się w Zatoce Tamaryndowców, a ja właśnie jadę w tym kierunku. Mieszkam na wzgórzu nad zatoką. Mogę cię podwieźć, jeśli chcesz.

- Hmm... Nie, dzięki, poczekam na taksówkę. Nie chcę, żebyś nakładał drogi.

Poza wszystkim w ogóle go nie zna. Dlaczego miałaby mu powierzyć swoje bezpieczeństwo?

- To może potrwać... - przestrzegł, omiatając wzrokiem jej sylwetkę. - A w dodatku, jeśli mam być szczery, samotna kobieta, w dodatku piękna, może wzbudzić niepożądane zainteresowanie. Jak już zresztą zdążyłaś się przekonać.

Z kieszeni wyjął wizytówkę, którą podał jej ze słowami:

- Może to cię uspokoi.

Doktor Cade Byfield, specjalista medycyny ratunkowej, Szpital Mountview, St Marie-Rose.

- Wszyscy mnie tu znają - dodał. - Często jeżdżę na Martynikę i z powrotem. Możesz o mnie zapytać funkcjonariuszy w porcie.

To zabrzmiało wiarygodnie. Widziała zresztą, jak któryś z portowych urzędników chwilę temu skinął mu głową na powitanie.

- Lekarz? - zapytała cicho. - Mieszkasz tu?

- Przynajmniej od kilku lat - przytaknął. - Pochodzę z Florydy, ale moi rodzice osiedlili się tu jakiś czas temu. A ty? - Spojrzał na nią pytająco.

- Jestem Angielką. Z niewielkiego, ale tętniącego życiem miasta w Hertfordshire.

- Ach tak, nawet chyba rozpoznaję po akcencie. - Uśmiechnął się i wskazał

mur okalający port. – Tam stoi mój samochód. Pójdziemy? Obiecuję, przy mnie nic ci nie grozi.

– Okej.

Położył rękę u nasady jej pleców, co przyprawiło ją o lekki dreszcz. Starła się o tym nie myśleć. Taka ciepła silna dłoń i jej właściciel tuż obok...

– Przydałbyś się w samolocie, którym tu leciałam – mruknęła, gdy szli nadbrzeżem.

– Naprawdę? A co się stało?

– Musieliśmy zboczyć z kursu i lądować na Martynice, bo ktoś zachorował. Facet siedział blisko mnie, po drugiej stronie przejścia, widziałam, jak zasłabł. Wyglądał jak trup, blady, jak z wosku. Pilot drogą radiową wezwał karetkę, która czekała, jak wylądowaliśmy.

Cade spochmurniał.

– Sprawa musiała być poważna. Co mu było? Wiesz może?

Przytaknęła ruchem głowy.

– Skarżył się na ból w klatce piersiowej, promieniujący do uszu i dziąseł. A potem stracił przytomność. Chciałam mu zbadać puls, ale niczego nie mogłam wy-czuć.

– To mi wygląda na zawał – powiedział, rzucając jej szybkie zatroskane spoj-rzenie. – Co się dalej działo?

– Wszyscy wokół spanikowali – odparła, krzywiąc się. – Ja rozpoczęłam masaż serca, a stewardesa poszła po przenośny defibrylator. Udało nam się ustabilizo-wać rytm serca i zapewnić dopływ krwi do narządów wewnętrznych. – Wargi za-częły jej drżeć, gdy to mówiła. – Myślałam, że wszystko będzie dobrze, ale wte-dy nastąpiło załamanie, serce zaczęło bić nieregularnie, a nawet się na chwilę zatrzymało.

Cade wstrzymał oddech.

– Musiał być w bardzo złym stanie. A ty się na pewno nieźle przestraszyłaś.

– Fakt, bardzo się martwiłam – przyznała – ale też jestem lekarzem, doświad-czenie robi swoje. Na szczęście w apteczce mieli adrenalinę, więc podałam mu ją dożylnie. I zaczął dochodzić do siebie.

– Specjalizujesz się w ratownictwie? – zapytał z zaciekawieniem.

– Nie, jestem pediatrą.

– W szpitalu, czy jesteś lekarzem rodzinnym?

Zbliżali się do samochodu. Był to SUV, ciemnoczerwony metalik o opływowych, choć jednocześnie solidnych kształtach. Zapewne daje sobie radę w każdym te-renie.

– Pracowałam na oddziale noworodków – odrzekła cicho – ale teraz, prawdę mówiąc, zrobiłam sobie dłuższy urlop od medycyny w ogóle.

No bo jak mogłaby codziennie chodzić do pracy, gdzie jak wiadomo, będzie miała wokół siebie mnóstwo dzieci, wiedząc jednocześnie, że sama nie będzie mieć własnego? To był dojmujący ból.

– Przynajmniej takie miałam przekonanie, dopóki nie wsiadłam do tego samo-

lotu. Potem musiałam chwilowo zmienić plany.

Otworzył jej drzwi od strony pasażera i gestem zaprosił do środka. Twarz miał ciągle zatroskaną.

- A więc samolot nie lądował na Martynice zgodnie z planem? Dlaczego w takim razie nikt nie zadbał o to, żebyś doleciała tu, na miejsce? Przecież to lepsze, niż tłuc się promem.

- Być może. Ale następny planowy lot miał być dopiero jutro rano.

Była wdzięczna, że nie zapytał, dlaczego zrobiła przerwę w karierze zawodowej. Pewnie po prostu założył, że zapragnęła dłuższego wypoczynku.

- Personel pokładowy musiałby wziąć nadgodziny - wyjaśniała - w dodatku źle nadano mi bagaż. Nie chciałam robić afery. Zależało mi, żeby jak najszybciej dotrzeć do siostry. Ciekawe, gdzie jest teraz moja walizka. Pewnie leci gdzieś na Barbados. Wypełniłam wszelkie możliwe formularze, więc pewnie wkrótce ją odzyskam.

- No to podróżowałaś z przygodami - zauważył, siadając za kierownicą i zapalając silnik. - Miejmy nadzieję, że teraz będzie już tylko lepiej.

- Tak, na wszystko trzeba patrzeć od najlepszej strony, prawda? - Rozsiadła się wygodnie na luksusowej tapicerce i poczuła na policzkach powiew włączonej klimatyzacji. - O, jak dobrze.

Spojrzał na nią z ukosa.

- Jak długi pobyt planujesz?

- Na początek trzy miesiące, a potem może jeszcze przedłużę. Tylko będę musiała znaleźć jakąś robotę. To na razie nic pilnego. Zastanawiam się nad zmianą specjalizacji. A może w końcu zdecyduję się po trzech miesiącach wrócić? Na razie chcę spędzić trochę czasu z Emmą, moją siostrą. Pracuje tu w zespole pielęgniarek, ma umowę na czas określony. - Becky posmutniała. - Jak byłam na statku, przysłała mi esemesa, że wezwano ją w pilnej sprawie. Mam nadzieję, że wróci w miarę szybko.

Zerknął z troską, po czym znów patrzył na szosę.

- A skoro już mowa o pracy. To dziwne, że na tak wczesnym etapie kariery robisz sobie długą przerwę. Nie każdy może sobie na to pozwolić. Pewnie mnóstwo ludzi ci zazdrości.

W głębi duszy skrzywiła się. Co to ma być? Zawołowana krytyka? Pewnie obserwując, jak świetnie radzi sobie na niwie towarzyskiej, gawędząc swobodnie z jego kuzynem, zdefiniował ją sobie jako bogatą zblazowaną dziewczynę, która szuka wrażeń.

- Może i zazdroścą. Masz rację, dobrze jest mieć pieniądze, bo one umożliwiają wybór. Ale ja nie określiłabym siebie mianem szczęściary, zapewniam cię - odparła. - Kiedy miałam dwanaście lat, straciłam rodziców. Zostawili pieniądze w funduszu powierniczym, dla mnie i dla siostry. Miałyśmy więc pewien komfort, ale wolałabym, żeby nadal byli przy nas. Wychowywali nas wujostwo. Byli dla nas dobrzy, ale mieli też pod opieką dwie własne córki. To musiało być dla nich trudne.

- Domyślam się. Bardzo mi przykro. Nie szkoda ci było ich opuścić i przyjechać tu? - spytał, obserwując ją przez krótką chwilę.

- Tak, tęsknię za nimi, szczególnie za kuzynkami. Ale cóż, wszystkie jesteśmy już dorosłe, każda ma własne życie. - Na chwilę zamilkła, rozmyślając. - Miałyśmy szczęście, nie rywalizowałyśmy między sobą, nie zazdrościłyśmy sobie. Byłyśmy kochającą się rodziną. Ciotka i wujek wykonali kawał dobrej roboty.

- Czwórka przychówku. Dom musiał być gwarny, co?

- Owszem, czasami aż za bardzo. Szalałyśmy, było mnóstwo radości. Wakacje, rodzinne pikniki, no i w ogóle cały czas spędzaliśmy wspólnie.

- Mnie ominęły takie doświadczenia - powiedział z nutką żalu w głosie. - Byłem jedynakiem. Może dlatego tak bardzo cenię sobie przyjaźń kuzynów. Jesteśmy bardzo blisko, trochę jak bracia.

- Naprawdę? - Spojrzała na niego z ciekawością. - Nie odniosłam takiego wrażenia. Na promie trzymałeś się na uboczu, zero kontaktu w Williamem. On powiedział, że na Martynice byłeś w interesach i że teraz musisz się odprężyć w samotności.

- Miał rację. Musiałem porozmawiać z paroma klientami. Mam na wzgórzach koło Zatoki Tamaryndowców plantację, więc często jeżdżę na Martynikę omówić kwestię dostaw, eksportu i tak dalej.

- Coś takiego! - uśmiechnęła się. - Jestem pod wrażeniem. Plantator. To godne podziwu.

- Bez przesady. - Uśmiechnął się krzywo. - Przejąłem ten interes dwa lata temu, chylił się wtedy ku upadkowi. Dostałem kilka razy po nosie, ale czegoś się nauczyłem. Dużo wysiłku włożyłem, żeby zacząć praktycznie od zera, ale myślę, że jesteśmy na dobrej drodze.

- Wygląda na to, że prowadzisz bardzo aktywne życie. - Chętnie dowiedziała by się czegoś więcej na temat plantacji, ale póki co nie odpowiedział jej na pytanie, dlaczego na statku zostawił kuzyna własnemu losowi. Ponoć są sobie tak bliscy... - Użyłeś liczby mnogiej - ciągnęła. - Czy William jest z tym w jakiś sposób związany? Nadal nie rozumiem, dlaczego nie odezwałeś się do niego na promie.

- Zatrudniam go, ale on teraz ma wakacje. Na statku był z kolegami i nie chciałem mu przeszkadzać. Tym bardziej, że wyglądał na bardzo zaabsorbowanego... tobą. Powiedziałbym nawet, że był oczarowany. Raczej nie podziękowałby mi, gdybym się wtrącił.

- Oczarowany? - Spojrzała na niego z rozbawieniem. - Przecież dopiero co się poznaliśmy!

Skąd mu to przyszło na myśl? A może był zazdrosny, że William poświęcił jej aż tyle uwagi? Przecież to absurd! Chłopak jest świeżo po rozstaniu z dziewczyną. Może i polubił ją, Becky, ale na pewno nie ma ochoty na żadne miłości. Zaproponował przyjaźń.

- Przesadnie to wszystko zinterpretowałeś.

- Nie sądzę.

I znów ten złośliwy uśmieszek. Omiótł wzrokiem jej zgrabną sylwetkę, skąpy

odsłaniający kawałek talii top i opinającą biodra spódniczkę.

- Wobec piękności o płomiennych włosach, szmaragdowych oczach i kuszącym uśmiechu facet jest bez szans - ciągnął. - Jak tylko na ciebie spojrzeł, było po nim. Bóg mi świadkiem, że mną jest podobnie - dokończył, robiąc śmieszna minę.

Zaśmiała się nerwowo. Czy naprawdę zrobiła na nim takie wrażenie? Już po raz drugi pozwolił sobie na uwagę na temat jej wyglądu.

- No cóż, dzięki za komplement. To znaczy... - Cholera, przez niego czuje się jak jakaś wiodąca mężczyzn do zguby Dalila. - Miałam wrażenie, że nie spuszczaś z niego oka.

- Tak było, jeśli mam być szczery.

- Naprawdę?

Zaskoczyło ją to szczere wyznanie. Zatrzepotała powiekami, a on spochmurniał.

- Tak, prawie cały czas. Chyba że akurat rozproszyło mnie myślenie o tobie. Bo była w tobie jakaś taka... bezbronność. Rozbudziłaś we mnie instynkt opiekuńczy. - Westchnął i potrząsnął głową, jakby usiłował zebrać się w sobie. - Może William też to wyczuł. Tak czy owak, lepiej żeby nie wpakował się w kłopoty. Ciotka prosiła mnie, żebym go trochę przypilnował. Może on na to nie wygląda, ale też jest z tych łatwowiernych i bezbronnych. W przeszłości poważnie go zraniono.

- Chyba nie ma człowieka, któremu by się to nie przytrafiło? - mruknęła pod nosem, co nie uchroniło jej przed jeszcze jednym przenikliwym spojrzeniem. Na szczęście zbliżali się do zakrętu.

Przez okno samochodu obserwowała krajobraz w całej jego krasie. To lepsze niż odszyfrowywanie zagadek złożonej - takie odniosła wrażenie - osobowości Cade'a Byfielda. Dotychczas rozumiała, że ona go pociąga, ale stara się to w sobie zwalczyć. Poza tym miała wrażenie, że podejrzewa ją o coś w związku z kuzynem. Nie bardzo wiedziała o co i dlaczego.

Zresztą nieważne. Ona też ostatnio zrobiła się podejrzliwa, nie ufała nawet sobie. Przyjechała tu, by się wyciszyć, przezwyciężyć załamanie, jakie przeżyła po rozstaniu z Drewem i do końca wyleczyć skutki przebytej choroby, która wprowadziła w jej życie taki zamęt.

Droga wiała się między zalesionymi pagórkami. Odkrywanie coraz to nowych widoków bardzo jej pomagało oderwać myśli od zmartwień.

Między bujnym listowiem można było od czasu do czasu dostrzec barwną papugę lub gralinę srokatą z żółtawym brzuszkiem. Wśród poszycia złożonego głównie z rozłożystych paproci buszowały małe zielone jaszczurki. Widać też było wyłaniające się tu i ówdzie rosnące dziko kwiaty - wokowane liliowe anturium i przypominające szkarłatne kokardki bromelie. To wszystko było piękne i całkiem dla niej nowe.

- Mówiłeś, że często jeździsz na Martynikę w interesach? - zwróciła się ponownie do Cade'a. - Nie wolałbyś latać samolotem? Byłoby szybciej.

- To prawda - zgodził się - ale ja lubię statek. Mogę się odprężyć, odświeżyć umysł, nadać sprawom właściwy wymiar. Na pokładzie nikt nigdzie się nie spieszy. A ja mam dość pośpiechu na co dzień, w szpitalu. Pewnie już zbliżamy się do twojego miejsca? - Wskazał palcem nieskazitelnie czystą zatoczkę z przystanią dla jachtów.

- Och! - Westchnęła zachwycona. Rozejrzała się po okolicznych wzgórzach i spojrzała w dół na skalistą zatoczkę. - Jak tu pięknie. Czysta doskonałość. Jest nawet ładniej niż w opowieściach Emmy - dokończyła, zauważywszy dalej w morzu turkusowy grzbiet rafy koralowej.

- Tak, to wyjątkowa wyspa, przepiękne miejsce do życia... i do pracy. Zwiedziłem chyba cały świat, ale uwielbiam tu wracać. Szukamy raczej chatki? - spytał, gdy zakretem zjechali w dół i znaleźli się w czymś w rodzaju małej wioski złożonej z kilku rozrzuconych tu i ówdzie zabudowań.

- Tak, Emma przysłała mi zdjęcia. Mam nadzieję, że ją rozpoznam gdzieś między drzewami.

Na widok obitego deskami domku o białych futrynach i obszernej werandzie z drewnianą, również pomalowaną na biało balustradą, mocniej zabiło jej serce. Gdy pod niego podjeżdżali, słońce chowało się za horyzontem, okrywając okoliczne wzgórza złotą poświatą.

Panowały cisza i spokój. Becky siedziała przez chwilę nieruchomo, chłonąc nastroj. Wiedziała, że tu będzie szczęśliwa. To idealne miejsce dla zdrowiejących.

- Mam nadzieję, że siostra jest uprzedzona o twoim przyjeździe? Bo jeśli jej nie ma, jak dostaniesz się do środka?

- Wysłała mi esemesa jakiś czas temu, myślałam, że już zdążyła wrócić - odparła Becky. - Ale mówiła też, że klucz zostawia zawsze w bezpiecznej kryjówce i że na pewno go znajdę. Jak znam Emmę, to może on się znajdować pod kamieniem z napisem „tu jest klucz”. - Roześmiała się.

- Pewnie siostra ma dobre relacje z miejscowymi. Możesz być spokojna, tu raczej nie ma przestępstw.

Zaparkował samochód przed wejściem do domku otoczonego liściastymi drzewami i gęstymi krzewami, które izolowały go od świata zewnętrznego. Pachniało zielenią i świeżością.

Czekał, gdy Rebecca podeszła zapukać do drzwi. Nikt nie otworzył, zaczęła więc szukać klucza, starając się nie okazywać rozczarowania.

- Jest. W skrzynce pod werandą - oznajmiła po chwili. - Może wejdiesz i czegoś się napijesz? W lodówce powinien być sok. Mogę też zrobić kawę.

- Chętnie. Napiję się kawy, jeśli można. Zobaczę, jak się rozgościłaś, a potem pojedę do siebie. Muszę jeszcze wpaść na plantację pogadać z zarządcą.

- Pracujecie tam aż do późna?

- Tak, czasami, zwłaszcza jak pojawia się problem. Zarządcą chce, żebym zakupił nową ciężarówkę, bo stara ciągle się psuje. Muszę to z nim załatwić, a on mieszka w chatce na terenie plantacji.

I to wszystko po godzinach? Widać lubi być zajęty, pomyślała.

Otworzyła drzwi i zaprosiła go do środka.

Obydwoje rozejrzeli się po wnętrzu. Pokój dzienny był umeblowany bardzo skromnie – kilka miejsc do siedzenia i stolik – i miał błyszczącą podłogę z jasnego dębu. Otwierał się na jasną i przestronną kuchnię z jadalnią, urządzonej w przyjemnej dla oka kremowej tonacji.

Dwie pary przeszklonych drzwi wiodły z salonu i kuchni wprost na werandę, która okalała cały dom i z której – poprzez drzewa – widać było w dole zatoczkę. Widok był zachwycający.

– Sprawdzę, czy Emma ma jakąś kawę.

Myszkowała po szufladach, w końcu wyjęła z kredensu dwa kubki i zagotowała wodę. O cukiernicę oparta była karteczka z wiadomością od Emmy.

– Píše, że nie wie, kiedy wróci – powiedziała, rzucając na nią okiem. – I że jutro rano ma pojawić się właściciel, bo jest jakiś problem z okiennicami.

To brzmiało tak, jakby miała nie wrócić na noc.

– Ale zostawiła mi coś na kolację – mruknęła Becky, podchodząc do lodówki i otwierając ją. – Powinnam się była domyślić. Jest tego mnóstwo, starczy dla nas obojga. Sałatka, ryż z przyprawami, pikantne udka kurczaka. Co ty na to?

Wstrzymał oddech.

– Nie potrafię odmówić – odrzekł z uśmiechem. – Brzmi to wspaniale, a lunch jadłem już jakiś czas temu.

– No, ja też – przyznała się, wyciągając dania z lodówki. – Ciekawe, kiedy Emma wróci. Nie mogę się doczekać.

– Jest starsza czy młodsza od ciebie? – spytał, gdy usiedli przy stole.

– Starsza, ale tylko o rok. Mimo to zawsze się mną opiekowała, pilnowała, żebym się poprawnie zachowywała i nie wpakowała w kłopoty. Taka sama była dla naszych kuzynek. One są trzy-cztery lata od nas młodsze. Częstuj się. – Wskazała ręką półmiski.

Fakt, latami oczekiwała od Emmy jakichś wskazówek. Może i teraz dowie się od niej, jak ma wydobrzeć, jak sobie poradzić po rozstaniu z Drewem i odzyskać utraconą wiarę w siebie. Diagnoza, że może mieć trudności z zajściem w ciążę, bo jajowody zbliżnowaciały, była dla niej ciosem. Zamknęła się w sobie i niczemu nie była w stanie stawić czoła.

A teraz... zachowuje się dość lekkomyślnie. Rzuciła pracę, wyjechała z kraju, zostawiła wszystko, jakby porwał ją jakiś wir. Na promie poznała przystojnego młodzieńca, nie mówiąc o tym, że teraz je kolację w towarzystwie kompletnie nieznanego mężczyzny w zacisznym domku prawie na odludziu.

Zwariowała? A może tak się objawia dążność do samozniszczenia?

Emma z pewnością jakoś temu zaradzi.

Odgoniła złe myśli. Lepiej zająć się czymś innym.

– Jaka to plantacja? – zapytała. – Co uprawiacie?

Zdała sobie sprawę, że Cade przyglądał jej się z ciekawością, gdy była pogrążona w myślach. Ale teraz błyskawicznie się ocknął i odpowiedział:

– Kakao. Trzeba się starać, żeby mieć dobre zbiory.

- Mówiłeś, że wcześniej uprawa podupadła. Dlaczego?

- Rośliny dopadła jakaś zaraza, była zła pogoda, huragany, tropikalne burze.

No i ceny poszły w dół. Wielu ludzi przerzuciło się wtedy na uprawę bananowców. Wyglądało, że to korzystniejsza opcja.

- A ty uważasz, że tobie uda się to, co nie udało się innym?

Przytaknął ruchem głowy.

- Przynajmniej spróbuję. To było pyszne - dodał, wycierając ociekające tłuszczem z kurczaka palce w papierową serwetkę.

- Emma zawsze świetnie gotowała.

Porozmawiali trochę o jedzeniu i o jego planach związanych z plantacją, ale przerwał im dzwonek jej telefonu.

- To może być Emma. Odbiorę, dobrze?

Głębokie rozczarowanie. To nie była Emma.

- Cześć, Becky, tu William. Chciałem tylko sprawdzić, czy dotarłaś do siostry. Martwiłem się o ciebie, nie mogłem sobie darować, że zostawiłem cię samą w porcie.

- O, cześć, William. Tak, dotarłam, dzięki. Nie musisz się o mnie martwić, wszystko w porządku.

Kątem oka dostrzegła lekko spiętego Cade'a.

- To świetnie. Posłuchaj, ja jutro wieczorem będę nad zatoką. Może byśmy poszli na jakiegoś drinka?

- Chętnie... Ale to zależy, jakie plany ma moja siostra. Teraz jej tu nie ma.

- Może iść z nami.

Myślała przez chwilę.

- W takim razie okej. Brzmi to nieźle. Dam ci znać, gdyby się coś zmieniło.

- Świetnie. Spotkajmy się około ósmej w barze Selwyna.

- Bar Selwyna? Tak, w takim razie o ósmej. Będę czekać - powiedziała z uśmiechem, po czym się rozłączyła i spojrzała na Cade'a. - To twój kuzyn - wyjaśniła, choć nie było takiej potrzeby. - Sprawdzał, czy dotarłam tu bez przeszkód.

- Załapałem - odparł, wstając. - I z tego co słyszałem, macie się jutro spotkać?

- Na to wygląda. To jakiś problem? - Spojrzała na niego zaczepnie.

- Nie bardzo, chociaż może... - Wzruszył ramionami z zakłopotaniem. - Jak powiedziałem, nie chcę, żeby go ktoś skrzywdził. Dopiero co wyszedł z nieudanego związku, jest osłabiony. Wiem, że może tak nie wygląda, ale...

- Jest chyba na tyle dorosły, żeby o siebie zadbać?

- Sprawia takie wrażenie, prawda? Ale niektórzy ludzie dojrzewają wolniej niż inni.

- Mnie się wydał całkiem normalny. - Jej zielone oczy rozbłysły. - A tak przy okazji: dlaczego uważasz, że ja mogę stanowić dla niego zagrożenie?

- Żartujesz sobie? - Wykrzywił usta w uśmiechu, omiatając ją jednocześnie wzrokiem. - Taki wygląd nawet świętemu by zagroził. Mój kuzyn wpadł jak śliwka w kompot.

- No cóż, powinnam czuć się zaszczycona, że przypisujesz mi taką moc - odparła, czerwieniejąc.

- Proszę cię, potraktuj go łagodnie - uśmiechnął się. - Rozumiem, że chcesz tu przyjemnie spędzić czas, zabawić się i wiem, że nie ma w tym nic złego. - W jego ciemnych oczach pojawiły się ogniki. - Możesz liczyć na moją pomoc w tym zakresie. Ale co do Williama, on tu jest na dłużej, a ty wyjedziesz. Obawiam się, że jeśli was coś połączy, będę go musiał znowu mozolnie składać do kupy.

- Jestem pewna, że i ty, i twoja ciotka jesteście nadopiekuńczy... Ja nie jestem zawodową podrywaczką. A poza tym możesz iść z nami do tego baru.

Nie mogłaś utrzymać języka za zębami? - skarciła się w myślach. O co, u licha, tak naprawdę jej chodzi?

- William zaproponował, żeby poszła z nami moja siostra - tłumaczyła się. - Ty też możesz dołączyć, będziemy w czwórkę.

- Bardzo chętnie - odrzekł. - Przyjadę po was.

Wpatrywał się w nią zamglonym spojrzeniem.

- Szkoda, że to William pierwszy cię zobaczył. Chętnie bym się zmierzył z takim wyzwaniem - dokończył cicho.

- Już ci mówiłam, że z Williamem mamy zamiar się tylko przyjaźnić - powiedziała, niewzruszenie patrząc mu w oczy. - A ja nie jestem łatwą zdobyczą.

- A ja ci mówiłem, że leży mi na sercu jego dobro. Nie będę się spokojnie przyglądał, jak ktoś go rani.

Nie do końca była pewna, czy to była groźba, czy obietnica.

Wkrótce potem Cade wyszedł. Patrzyła przez okno, jak odjeżdża. Powinna poczuć ulgę, ale było inaczej.

Narastał w niej dziwny niepokój, zrobiła się nerwowa. Co ona wyprawia? Wdaje się w jakieś hece z Cade'em i z jego kuzynem? Wtrąca się między nich? Nie dość miała ostatnio kłopotów? I czy naprawdę William mógłby się poczuć przez nią skrzywdzony?

Zacisnęła wargi i zmarszczyła brwi. Może być pewna, że Cade do tego nie dopuści. Co on właściwie miał na myśli? Zaczęła podejrzewać, że jako człowiek, który niczego nie zostawia przypadkowi, specjalnie kręcił się po porcie, czekając, aż William się oddali.

ROZDZIAŁ DRUGI

- Tak się martwiłam, kiedy nie wróciłaś na noc. - Rebecca przyglądała się, jak siostra szuka czegoś w szafie z ubraniami. - Często ci się to zdarza?

- Od czasu do czasu. Zależy od okoliczności. Co myślisz o tej? - Emma podniosła jasnozieloną sukienkę z odkrytymi ramionami i „łyżwiarską” spódniczką. - Pasowałaby ci do koloru oczu.

- Rzeczywiście, wygląda świetnie, dzięki. Zaraz ją przymierzę.

Przygotowywały się do wieczornego wyjścia, a ponieważ większość rzeczy Rebecki pozostała w jej wędrującej między lotniskami walizce, była zdana na pomoc Emmy w doborze garderoby.

Na szczęście nosiły zbliżony rozmiar.

- Co się właściwie wczoraj wydarzyło? - spytała Rebecca.

- Musieliśmy udać się na tereny rolnicze daleko w górach - mówiła Emma z chmurnym wyrazem twarzy. - Dwoje ludzi źle się poczuło, straszny ból głowy, do tego gorączka. Nie do końca było wiadomo, co im jest. Trzeba było przy nich posiedzieć, aż poczują się lepiej, pobrać próbki krwi i wysłać je do badania do szpitala. Wyniki będą dopiero za dwa dni i do tej pory nie można postawić diagnozy.

- Będziesz musiała do nich wrócić?

- Niewykluczone. Mam czekać na telefon od przełożonej. Jeśli będzie trzeba, wyślą po mnie dżipa i znowu tam pojedę.

Skończyły się ubierać. Rebecca musnęła policzki różem, gdy do drzwi frontowych ktoś zaczął się dobijać. Poczowała ucisk w żołądku. To musi być Cade, bez dwóch zdań. Zjawił się kilka minut przed czasem, a ona nie była gotowa na jego przyjście.

Nie zdążyła zebrać się w sobie, wyciszyć. Ale dlaczego ma się tym przejmować? Dlaczego staje się nerwowa na samą myśl o ponownym spotkaniu z Cade'em?

Siostra poszła otworzyć, a Rebecca wykorzystała ten moment na szybki rzut oka w lustro i sprawdzenie, czy z włosami wszystko jest okej. Tym razem upięła je, by okiełznać niesforne loki, co nie do końca jej się udało, ale było w porządku. Zadowolona z rezultatu obciągnęła na siebie sukienkę. Jedwabisty materiał uroczo otulał jej biodra, a miękkie plisy sięgały prawie do kolan.

- Witaj, to pewnie o tobie opowiadała mi Becky - powitała gościa Emma. - Wejdz, proszę. Mówiła, że masz plantację na wzgórzach. To takie intrygujące! W życiu nie widziałam na własne oczy właściciela ziemskiego. Ani też plantacji kakao.

- W takim razie powinnaś ją zobaczyć - odparł Cade pogodnym tonem. - Mo-

żecie przyjechać z Rebeccą choćby jutro, jeśli macie czas. Oprowadzę was.

- Świetny pomysł.

- Dobra, w takim razie jesteście umówieni. Mnie najbardziej odpowiada późne popołudnie. Mogę przyjechać po was zaraz po dyżurze w szpitalu.

- Pracujesz w weekend?

- Niestety, tak się składa.

Facet nie traci czasu, co? Tak szybko zaprosił je do siebie!

Jego niski głos spowodował, że Rebecca poczuła ciarki na plecach. Aż się wzdrygnęła. Jak on to robi, że wywiera na niej takie wrażenie? Ona przecież nie szuka bliższych kontaktów ani stałych związków. Nie chce się angażować. Jego kuzyn William to zupełnie inna para kaloszy - można się z nim trochę niezobowiązująco pospotykać i powłóczyć. A Cade jest taki... przy nim człowiek nie czuje się na luzie. Ani trochę. Jej system nerwowy automatycznie jej to sygnalizuje.

- Cześć po raz kolejny - powiedziała, kiedy po wzięciu głębokiego oddechu weszła do pokoju.

Gdy w szarych oczach Cade'a dostrzegła podziw, sprawiło jej to autentyczną satysfakcję.

On przez chwilę milczał, po czym, przenosząc wzrok z jednej siostry na drugą, powiedział:

- Nie ulega wątpliwości, że jesteście siostrami. Macie takie same wydatne kości policzkowe i doskonale zarysowane linie szczęki. Obie wyglądacie prześlicznie.

- Wielkie dzięki! - roześmiała się Emma, podchodząc do niego i dotykając jego ramienia. Jej długie kasztanowe włosy musnęły jego rękaw.

Miała na sobie prostą niebieską sukienkę na cienkich ramiączkach. Cade natomiast włożył na tę okazję świeżą koszulę i jasne spodnie.

- Dajcie mi sekundę, muszę tylko wziąć torebkę - poprosiła Emma. - Byłam już raz w barze Selwyna, tam jest super.

Cade poprowadził je do samochodu.

Rebecca usadowiła się na tylnym siedzeniu obok Emmy. Nie miały dotychczas zbyt wiele czasu na rozmowy, bo siostra wróciła do domu dopiero po południu. Teraz też pewnie nie będzie warunków, żeby się pozwierać. Ale zawsze miło znów się spotkać.

- Od jak dawna tu pracujesz, Emma? - spytał Cade, gdy wjeżdżali na nadbrzeżną szosę.

- Jakies dwa miesiące. Tu jest świetnie. Jak na razie praca mnie nie przerasta. Pomagam w przychodni, czasem muszę wyjechać do jakiejś odległej wioski. Pracuję głównie przy szczepieniach i monitorowaniu stanu dzieciaków do lat pięciu.

Spojrzał w lusterko wsteczne.

- Może tobie też by to odpowiadało, Rebecca, co? Pięciolatki? Pewnie nie teraz, ale może później. Mówiłaś, że chciałybyś zmienić specjalizację.

Rebecca zbladła. Nie spodziewała się takiego pytania.

- Uhm... nie jestem pewna. Musiałabym to przemyśleć.

- Neonatologia to na pewno trudna dziedzina, tak mi się przynajmniej wydaje.

- Tak. Spotyka się wiele ciężko chorych noworodków. Głównie wcześniaki.

Zdarzają się wady serca, problemy oddechowe i tak dalej.

- To dlatego zrobiłaś sobie przerwę? Poczuliś się wypalona?

- W pewnym sensie tak - odparła z trudem.

Nie miała ochoty o tym mówić. To było bolesne i niosło z sobą wiele przykrych wspomnień, a ona wolałaby zapomnieć. Po przebytej chorobie trudno byłoby jej wrócić do pracy. Trzymać w ramionach maleńkie dzieci, kiedy się wie, że nie będzie się miało swojego? Gdy raz wzięła na ręce słodkie kruche niemowlę, dopiero do niej dotarło, jak bardzo została okaleczona.

Emma przysunęła się bliżej w geście wsparcia.

- Czasem dobrze jest spróbować nowych doświadczeń - odezwała się. - Ale na razie Becky musi wykorzystać czas wolny i doładować baterie. Przez ostatnie lata pracowała naprawdę ciężko. Kończyła studia, zdawała wiele egzaminów na specjalizację. Nie miała czasu dla siebie. Zasłużyła na długie wakacje.

- Jasne. Rozumiem.

Z błysku w ciemnych oczach Cade'a dostrzeżonym w lusterku Rebecca wynioskowała, że on tylko tak mówi. Zresztą jak miałby ją zrozumieć? W końcu postrzegał ją jako młodą, energiczną osobę u progu życia. Skąd u takiej potrzeba dłuższego odpoczynku? Ale nie zamierzała się tłumaczyć każdemu napotkanemu człowiekowi. Taka rozmowa przygnębiłaby ją do reszty.

Nie była w stanie gruntownie omówić spraw z Drewem. Jego negatywna, wręcz wroga postawa tylko pogorszyła sytuację. Jeśli kiedykolwiek mieli jakieś wspólne plany na przyszłość, straciły one aktualność, gdy chłopak się dowiedział, że może jest trwale bezpłodna. Taka reakcja na jej nieszczęście kompletnie ją zdruzgotała.

A teraz jeszcze doszły do tego obawy, że każdy napotkany facet może zachować się tak samo.

Nie potrafiła o swojej sytuacji myśleć bez lęku. Rana była jeszcze zbyt świeża.

- U Selwyna podają świetne mojito. - Emma zmieniła temat. - Będzie ci smakować, Becky. Rum, świeżo wyciśnięty sok z limonki i nutka mięty. Pycha.

- Brzmi to niezłe. - Rebecca z trudem doszła do siebie. - A ty, Cade, czego lubisz się napić?

- Też lubię rum, to w końcu tutejsza specjalność. Ale najczęściej piję piwo. Może dziś pozwolę sobie na jakiś koktajl z odrobiną rumu, ale raczej pozostanę wierny bezalkoholowemu lagerowi. Jutro mam poranny dyżur w szpitalu. A poza tym, oczywiście, jestem kierowcą.

- Ach, trafiła ci się najgorsza dola - zachichotała z sympatią Emma. - Ale u Selwyna podają też jedzenie, więc zawsze możesz liczyć na to, że ze stekiem z polędwicy czy czymś w tym rodzaju wciągniesz też odrobinę rumu.

- I owszem - odparł z uśmiechem.

William czekał na nich na promenadzie i powitał całą trójkę z entuzjazmem. Bar Selwyna był zbudowany z desek i wznosił się na wąskim, porośniętym namo-

ryzami przesmyku między falami przyplływów. Widać tam było płataninę zbielałych od soli morskiej korzeni.

Wokół było pełno zieleni, a leśne odgłosy mieszały się z muzyką płynącą z ustawionych pod masywnymi markizami głośników. Przykryte białymi obrusami stoły ustawiono wzdłuż balustrady, aby wszyscy goście mieli widok na wodę.

Ubrany w T-shirt i spodnie do kolan William uśmiechał się serdecznie.

- Miło cię znów widzieć - powiedział, tuląc Rebecę w mocnym uścisku. - A ty pewnie jesteś jej siostrą. - Skinął głową Emmie. - Cześć. Becky mówiła mi, że jesteś pielęgniarką. Praca na Karaibach to dla ciebie bez wątplenia nowe doświadczenie. Jak się w tym odnajdujesz?

- Świetnie. Jest zupełnie inaczej niż w Anglii, ale na ogół nieźle. Pewne rzeczy są dość frustrujące, na przykład braki w sprzęcie czy ciężkie przypadki. No i oczywiście to, że wszystko dzieje się tak powoli.

- Wiem, o czym mówisz - przytaknął. - W sklepie może zabraknąć chleba czy mleka, o ile odpowiednio wcześniej po nie nie pójdziesz. Internet może ci paść ni z tego, ni z owego, kiedy akurat coś ważnego robisz.

- A jak ci się zepsuje ciężarówka, musisz czekać na części zamienne, aż dotrą z innej wyspy - wtrącił Cade. - Nam się to zdarzało wiele razy. Podejźmy do baru, postawię wam drinki. Mojito, prawda?

- Chętnie, dzięki - odparła Rebecca, spoglądając na niego. - Rozmawiałeś już z zarządcą na temat nowej ciężarówki?

- Tak. To trochę potrwa, ale jak już ją sprowadzimy, będzie nam o wiele lżej.

Zanieśli drinki do stołu przy balustradzie. Przejrzeli menu, dyskutując, na co mieliby ochotę.

- Może zamówimy wspólnie półmisek z owocami morza i kurczakiem? - Cade wystąpił z propozycją, na którą wszyscy się zgodzili. To brzmiało bardzo apetycznie... ryż w szafranie, do tego aromatyczne kawałki kurczaka razem z mieszanką owoców morza, wszystko z grilla.

Rebecca wpatrywała się w wodę, podziwiając wdzięczne białe czaple szukające na płyciźnie smakowitych kąsków. Nieco dalej, gdzie namorzyny ustępowały miejsca wysokim dereniom, dojrzała niebiesko-złotą arę rozpościerającą skrzydła do lotu.

- Cudownie tu - zauważyła rozmarzona. - Tak spokojnie.

- Fajnie cię widzieć odprężoną - zauważył William. - Po wczorajszym locie robiłaś wrażenie nieco spiętej.

- No cóż, dwanaście godzin w samolocie, a na koniec dowiadujesz się, że bagaż gdzieś się zapodział...

- Twoje walizki jeszcze nie dotarły? - spytał Cade, unosząc brwi.

- Jeszcze nie. Dzwoniłam rano na lotnisko, ale chyba nie mają nawet pojęcia, dokąd zostały wysłane. - Rebecca skrzywiła się lekko. - Opłaca się mieć siostrę, która użyje ci swojej szafy.

- Też tak myślę. - Nachylił się ku niej i dodał na tyle cicho, by tylko ona mogła usłyszeć: - Zwłaszcza jeśli sukienka Emmy pasuje na ciebie jak ulał.

Poczuła na policzkach gorącą czerwień.

- Dzięki.

William ciągle jednak myślał o wczorajszej podróży statkiem.

- Miałem wrażenie, że nie chodziło tylko o zgubioną walizkę. Miałaś takie momenty, kiedy nagle milkłaś, jakby zaskoczona...

- Skądże. Czułam się świetnie. I nadal tak się czuję. Kto mógłby stresować się w miejscu takim jak to?

- Racja. - Uśmiechnął się lekko.

Spojrzała na niego ukradkiem, badawczo. Czy to możliwe? William jest chyba bardziej spostrzegawczy, niż wygląda. Może wskutek swoich doświadczeń lepiej rozumie, jak to jest, gdy człowiek czuje się niedopasowany do reszty otoczenia. Może w istocie ten chłopak ciężko pracuje na to, żeby być zawsze w szampańskim humorze?

Rebecca była też cały czas świadoma spoczywającego na niej wzroku Cade'a. Czuła, że nie jest zadowolony z komitywy między nią a Williamem. Nawet usadził ich przy stole tak, by kuzyn usiadł koło Emmy. Chyba że jej się to wszystko tylko wydawało?

- Może milkłaś, bo wracałaś myślami do tego człowieka, który zasnął w samolocie? - zagadnął ją Cade.

- Pewnie tak.

William i Emma z zainteresowaniem słuchali streszczonej im pokrótce historii.

- To musiało być straszne - zauważyła Emma. - Ciekawe, jak on się teraz czuje.

- Stan stabilny - odparła Rebecca. - Dzwoniłam rano do szpitala. Zdaje się, że lekarze, oceniwszy jego kondycję, zdecydowali, że jutro założą mu bypasy.

- Musisz być szczęśliwa, to przecież dzięki tobie - stwierdził Cade z uśmiechem. - Dobrze, że zapytałaś o jego zdrowie. Sam byłem ciekaw, co z nim.

- Jestem spokojna, że wszystko będzie okej. Jest w dobrych rękach.

William wyglądał teraz na przygaszonego.

- Boże, jestem otoczony medykami - powiedział z nabożnym lękiem. - Ja przy was czuję się taaaki malutki i nieważny.

- Całkiem niesłusznie - odrzekła Emma. - Każdy z nas ma coś do zaoferowania innym. Pracujesz na plantacji Cade'a, tak? Czym się zajmujesz?

- Wszystkim po trochu. Poznaję funkcjonowanie takiego przedsiębiorstwa od podszewki. Cade uważa, że na początek to jest dla mnie najlepsze.

Opowiedział im, jak się zamawia siewki, zwłaszcza nowe szczepy, i jak się nadzoruje ich sadzenie.

- Kiedy przejęliśmy plantację, było tam wiele dojrzałych drzew, które mogą już przynosić zbiory - wtrącił Cade. - Dopiero trzyletnie drzewo zaczyna produkować strąki. Najlepszy plon dają pięcioletnie. Ale mimo to wciąż sprowadzamy nowe sadzonki, żeby zapewnić jakość i ciągłość. Wszystko będziecie mogły zobaczyć jutro.

- Już nie mogę się doczekać - rzekła Rebecca.

- Ja też. - Emma pokiwała głową. - Mam nadzieję, że nie zostanę nagle wezwana do pracy. Niby wzięłam kilka dni wolnego na przyjazd siostry, ale nigdy nic nie wiadomo.

Kelnerka postawiła przed nimi jedzenie, następną godzinę zajęła im więc degustacja i dyskusja na temat tego, co jest pyszniejsze. Rebecce najbardziej smakowały krewetki podsmażane z papryczkami i cebulkami w ostrym imbirowo-cytrynowym sosie, placuszki krabowe z ryżem i wspaniała zielona sałata. Na deser był wyborny karmelizowany ananas pokropiony limetkowo-waniliowo-rumowym syropem z gałką lodów.

- Mmm, to było boskie - mruzczała, odsuwając od siebie czyściutki talerz. Położyła sobie dłoń na żołądku. - Chyba przez najbliższy tydzień nie tknę jedzenia.

- Może nie aż tak długo - roześmiał się William. - Mam nadzieję, że jutro na plantacji skusisz się na rozpływający się w ustach czekoladowy placek mojej roboty.

- Och, czekolada! Widzę, że odkryłeś mój słaby punkt. Lepiej trzymaj się ode mnie z daleka! - Śmiała się razem z nim. - A więc też tam będziesz? To świetnie. A co z twoimi kolegami spędzającym wakacje na północy? Nie wolisz być z nimi?

- Wracają do Miami. - William wygiął usta w podkówkę. - Na uczelnię, do pracy. Poznałem ich tam, jak studiowałem nauki o żywieniu i rolnictwie. Utrzymywaliśmy kontakt, jak skończyłem studia. Dzisiaj kończą mi się wakacje i wracam do roboty, więc się zobaczymy, jak dobrze pójdzie. Mieszkam w jednym z domków na plantacji.

- To wygodne, nie?

- Ma się rozumieć! Nic nie płacę - szeptał jej do ucha niby konfidencjonalnie. - Kuzyn robi mi uprzejmość, ma nieprzyzwoicie szeroki gest. Dużo mu zawdzięczam.

Rebecca odwzajemniła uśmiech. Cade nie mógł słyszeć, o czym szepczą, ale nie spuszczał z niej zadumanego i lekko złowieszczonego spojrzenia. Na pewno czuje się odpowiedzialny za kuzyna. Rozumiała jego troskę, przynajmniej częściowo, ale z drugiej strony William jest tak zabawny, że nie zamierzała rezygnować z jego towarzystwa. Czegoś takiego jej teraz najbardziej potrzeba. Reaguje na jego wygłupy, ale to nie znaczy, że dybie na jego serce.

Emma też była w nastroju do zabawy, rozluźniła się po pracy. Przekomarzała się z Williamem, śmiała wraz z Cade'em.

Obie raczyły się mojito, po czym Rebecca za namową Cade'a spróbowała innego koktajlu. Ciemny rum, sok z cytryny, syrop z grenadyny i odrobina gorzkiej angostury. Wieczór mijał szybko i w lekkim oszołomieniu. Ale z wyjątkiem świetnie się bawiącej Becky wszyscy pozostali mieli w jutrzejszej perspektywie pracę.

Trzeba więc było kończyć.

- Wpadnę po was około wpół do czwartej, jeśli można - powiedział Cade, gdy dowiózł dziewczyny do domu.

Księżyc był srebrną kulą przeświecającą między gałęziami i kładł wszędzie

niespokojne cienie. Noc pachniała jaśminem.

- Tak będzie okej. Jak wszystko dobrze pójdzie, będziemy na ciebie czekać - powiedziała Emma i pomachała mu na dobranoc.

Niestety, sprawy nie ułożyły się zgodnie z jej słowami. Rebecca nie ukrywała rozczarowania, gdy wczesnym popołudniem następnego dnia Emma dostała esemesa wzywającego do stawienia się w pracy.

Kolejne osoby w wiosce na wzgórzu zapadły na tajemniczą chorobę i przełożona pielęgniarek potrzebowała dodatkowych pracowników do opieki nad nimi. Chorzy mieli bardzo wysoką temperaturę i silne bóle głowy. Sprawa wyglądała poważnie.

- To jakaś infekcja bakteryjna - wyjaśniła siostrze Emma. - Pewnie profilaktycznie zaaplikujemy im antybiotyki.

- Może z tobą pojedę? Przyda ci się pomoc.

- Mowy nie ma, Becky. - Emma stanowczo pokręciła głową. - Dopiero co sama wyszłaś z ciężkiej choroby. Jesteś ciągle osłabiona, nie wolno ci ryzykować. Zresztą przełożona i tak by nie pozwoliła.

- Ale ty przecież też ryzykujesz! - Rebecca była wyraźnie poruszona. - A może to tyfus? Słyszałam pogłoski, że na sąsiednich wyspach zdarzały się pojedyncze przypadki.

- Jestem zaszczepiona na milion chorób. - Emma wzruszyła ramionami. - A kiedy zachodzi potrzeba, stosujemy wszelkie środki ostrożności, no wiesz, maski, rękawice.

Rebekki to nie uspokoiło, chociaż już się nie odzywała, nie chcąc drażnić siostry. Szczepionka przeciwko tyfusowi nie jest w stu procentach skuteczna. Zawsze trzeba uważać, co się je i pije.

- Będziemy w kontakcie, okej? Dzwoń do mnie i opowiadaj, co się dzieje.

- Jasne. - Emma objęła Rebeccę i spojrzała na zegarek. - Dżip ma tu być za pół godziny. Szkoda - zrobiła żalostną minę - tak chciałam obejrzeć plantację. Będziesz mi musiała wszystko opowiedzieć.

Rebecca posmutniała.

- Zadzwoń i odwołam - zaproponowała. - Jestem pewna, że Cade zaprosi nas w innym terminie. Obaj z Williamem cieszyli się chyba na naszą wizytę.

- Prawda? Też mi się tak wydawało. - Emma uśmiechnęła się. - William jest taki słodki. Wygląda jak mały niewinny chłopczyk. Opowiadał mi z przejęciem, że jego mama uwielbia czekoladę, a mimo to jest chuda jak szczapa. Podobno cieszy się z jego pracy na plantacji. Jak się domyśliłam, William ostatnio nie miał szczęścia, a teraz jeszcze jego ojciec zachorował.

Podążyła do sypialni, by spakować kilka drobiazgów.

Rebecca poszła za nią, dopytując się, na co zapadł ojciec Williama, ale Emma nie była pewna.

- Podobno jakiś wirus. Wygląda na to, że mógł mu uszkodzić serce. Sprawa nie wygląda dobrze, tak czy owak.

Nic dziwnego, że Cade jest tak opiekuńczy w stosunku do kuzyna. Ma powo-

dy...

- Pomogę ci - zaproponowała Rebecca, przeglądając szafkę. - Tu masz czyste ręczniki, tu krem nawilżający.

- Dziękuję.

Gdy wkrótce potem Emma wyjechała, Rebecca starała się bezskutecznie dozwonić do Cade'a. „Abonent” był ciągle „poza zasięgiem”. Aż, po upływie pół godziny, osobiście zapukał do drzwi chaty.

- O, cześć - powitała go, starając się, aby jego wygląd nie zbił jej z tropu. Miał na sobie świeżą koszulę, jasnoniebieski jedwabny krawat i ciemne spodnie, które podkreślały płaską linię brzucha oraz silną budowę nóg. - Emmy nie ma, wezwali ją do pracy. Próbowалам zadzwonić i odwołać wizytę, ale miałeś chyba wyłączony telefon.

Potwierdził skinieniem głowy i zmarszczył brwi.

- Zgadza się, prowadziłem. Zwykle mam wtedy wyłączony aparat, chyba że spodziewam się ważnego telefonu. Drogi tutaj są kręte i zdradliwe, więc staram się uważać. Zwłaszcza jak pada albo jest burza. Przykro mi, że jej nie ma, ale ty chyba możesz przyjechać? - Spojrzał na nią pytającym wzrokiem.

- Nnno... niby tak, jeśli ci to nie przeszkadza. - Ściągnęła brwi. - Ale Emma będzie rozczarowana, że ją to ominęło.

- Trudno. Nie szkodzi, może przyjechać innym razem. Jakoś to załatwimy, nie ma problemu.

- W takim razie okej. - Wyraźnie się ożywiła. Skoro on tak chce... - Pójdę tylko coś na siebie narzucić.

Po chwili pojawiła się w lekkim, nałożonym na T-shirt zakiecie. Poklepała się po kieszeniach dzinsów w poszukiwaniu kluczy i karty płatniczej, które przełożyła do niewielkiej torebki.

- Jestem gotowa.

- Świetnie. Powiedziałem zarządcy, że ma nas oczekiwać tuż po czwartej. Jego żona przygotowuje na tarasie popołudniową herbatę.

- Popołudniową herbatę? - Uśmiechnęła się, patrząc na niego ze zdziwieniem, gdy sadowiła się na siedzeniu pasażera. - Brzmi cudownie, ale to przecież bardzo angielska tradycja, nie?

- Owszem, ale pomyślałem, że ci się spodoba - odpowiedział jej z uśmiechem. - Mam też nadzieję, że będzie coś do herbaty. Od rana byłem w pracy i umieram z głodu. Wiesz, jak są nagłe przypadki, nie zawsze ma się czas, żeby coś przegryźć.

- Wiem - powiedziała, przypominając sobie, jak była na stażu i z rzadka wykorzystywała przerwy śniadaniowe czy na lunch na zjedzenie czegośkolwiek. - Miałaś więc dziś dużo roboty?

Zmarszczyła brwi. Coś tu nie pasuje...

Niby taki młyn, a koszula świeżo uprasowana? Cóż, może zdążył wziąć prysznic i przebrać się w szpitalu. Faktycznie, ma chyba wilgotne włosy.

- Tak jak zwykle. Pacjenci z bólem w klatce piersiowej, z różnymi zakaże-

niami... – Spojrzał na nią, wjeżdżając ostrożnie pod górę. – Tu są Karaiby, teoretycznie rejon turystyczny, przyjezdni raczej ostrożnie korzystają ze słońca i sportów wodnych. Ale choroby i wypadki się zdarzają, zwłaszcza tym, którzy tu pracują i mieszkają.

– Nie wątpię.

Czyżby jej sceptyczny wyraz twarzy, który dotyczył jego wyglądu, zinterpretował jako brak wiary w to, że w rajach też mogą zdarzać się nieszczęścia?

– To dobrze – skwitował, po czym całą uwagę poświęcił pnącej się pod górę drodze.

Rebecca ujrzała w dali majestatyczne, sięgające chmur szczyty górskie. Pełen jaskrawych barw krajobraz był jednocześnie surowy i po części budził grozę.

W kilka minut dotarli na plantację.

Rebecca rozglądała się, pełna podziwu dla tego istnego zielonego klejnotu pośrodku tropikalnej puszczy. Wokół niej wznosiły się sześciometrowej wysokości kakaowce o lśniących liściach, wielkością dorównujących jej dłoni. Ich kora pokryta była mchami i porostami, a ze szczelin tu i ówdzie spozierały malutkie delikatne orchidee. Z konarów zwieszały się okazałe różowe owoce w kształcie strąków, pełne dojrzałych ziaren.

Pomiędzy kakaowcami rosły też inne, większe drzewa. Becky rozpoznała w nich bananowce i palmy kokosowe. Przyglądała się im nieco zdezorientowana.

Co one tu robią?

– Dają cień kakaowcom – odparł Cade, domyśliwszy się, co ją nurtuje. – Inaczej owoce by się pomarszczyły pod wpływem słońca. Kakaowce są dość delikatne, zwłaszcza te młode, wymagają ochrony. Te palmy i drzewa zasadziłem, kiedy przejąłem plantację, żeby dawały schronienie młodym siewkom. Wyrosły błyskawicznie.

– Aha, widzę. – Bananowce miały olbrzymie, działające jak parasole liście, a palmy stanowiły dodatkowe zabezpieczenie.

– Wyżej właśnie trwają zbiory, możemy podejść i zobaczyć.

– Chętnie.

Poszła za nim w rejon, gdzie robotnicy uwijali się wokół najstarszych drzew, zrywając strąki z gałęzi za pomocą przyrządów na długich rączkach. Owoce padały na ziemię, gdzie młodzi chłopcy i dziewczęta rozcinali je maczetami i wybierali ze środka białe ziarna, które następnie wrzucali do czystych metalowych wiader.

– Potem przesypią je do drewnianych skrzynek i przykryją liśćmi bananowca, żeby nie traciły ciepła – tłumaczył Cade. – Przez kilka dni będą fermentować, a potem zostaną wysuszone. Wtedy uzyskają znany nam kolor i aromat.

– To fascynujące – powiedziała. – Nie miałam pojęcia, że kakao jest najpierw białe.

W jego telefonie rozległ się dźwięk zwiastujący nadejście esemesa. Cade wyjął komórkę z kieszeni i spojrzał na wyświetlacz.

– Jeśli cię to interesuje, mogę ci pokazać jeszcze inne prace – powiedział. – Ale

teraz chyba powinniśmy pójść na herbatę. Wszystko już na nas czeka.

- Okej. - Uśmiechnęła się i podążyła za nim w stronę białego, widocznego w pewnym oddaleniu budynku. - Będzie tam William? Spodziewałam się go spotkać dziś po południu.

W twarzy Cade'a prawie niezauważalnie drgnął jakiś muskuł.

- Prawdę mówiąc, nie. Powinienem był cię uprzedzić... Obawiam się, że William wróci dziś dość późno. Musiał wyjechać na sąsiednią wyspę zorganizować przewóz naszej nowej ciężarówki. Zawsze lepiej, jak ktoś dogląda takich rzeczy na miejscu.

- Specjalnie wysłałeś go tam dzisiaj? - Rzuciła mu przenikliwe spojrzenie. Skinął głową.

- Rano zadzwonił diler. Wydawało mi się, że lepiej zadziałać jak najszybciej.

- Naprawdę? - Spojrzała na niego z powątpiewaniem.

Zachowywał się nonszalancko, ale to chyba były tylko pozory. Tak naprawdę nie życzył sobie, by jego kuzyn spędzał tak dużo czasu w jej towarzystwie.

Koniecznien trzeba było wysłać Williama po samochód dziś po południu? I to po jednym telefonie?

Straciła dobry humor. To oczywiście nie jej sprawa i nie zamierzała się wtrącać, ale była wkurzona. Czy Cade uważa, że ona może mieć zły wpływ na Williama?

- Szkoda - powiedziała tylko. - Wiem, że bardzo chciał zobaczyć się dziś z Emmą. I ze mną.

Jego ciemne oczy rozbłysły tak, że już nie miała wątpliwości. Rozmyślnie zrobił dziś z kuzyna chłopca na posyłki.

- Nie wątpię, ale przecież, jak powiedziałem, będzie jeszcze wiele okazji, żeby się spotkać.

Lekko położył jej rękę na plecach i tym władczym gestem chyba zdradził, że chce ją mieć na wyłączność. Przyglądał się jej tymi swoimi ciemnymi oczami, a ją ogarnął lęk, mieszanina smutku i nerwowości. Przecież ona nie zamierza się angażować. Wszystkie jej związki będą od teraz miały charakter lekki i przelotny. Nic poważnego. Nie chce po raz drugi zobaczyć takiej reakcji, jaką zaprezentował Drew. Raz - i wystarczy.

Stali przed szerokimi schodami wiodącymi na obszerną werandę. Dom był piękny. Zbudowany z kamienia, by wytrzymać napór karaibskich sztormowych wiatrów i trwać wiecznie. Na werandę wychodziło dużo przeszklonych drzwi, dzięki czemu wewnątrz sprawiało wrażenie jasnego i przestronnego.

Z domu pośpiesznie wyszła kobieta na oko czterdziestopięcioletnia, z ciemnymi, klasycznie i starannie ostrzyżonymi jedwabistymi włosami i niespokojnym spojrzeniem orzechowych oczu.

- Cade, był wypadek, we wschodniej części. Chłopak skaleczył się maczetą. Don mówi, że dość mocno krwawi.

- Dzięki, Harriet - odparł wyglądający na przejętego Cade. - Pójdę tylko po swoją torbę. - Spojrzył na Rebeccę. - Obawiam się, że muszę iść. Ty zostań,

Harriet się tobą zajmie. Wróć najszybciej, jak będę mógł.

- W porządku. Oczywiście, rozumiem, idź.

Odezwał się w niej instynkt lekarza. To nagły przypadek. Jeśli rana jest głęboka, w najlepszym wypadku wszystko skończy się założeniem szwów. Ale jeśli zostały uszkodzone mięśnie albo ścięgna, konieczna będzie operacja. Cade może też potrzebować asysty, kiedy niezbędne okaże się głębokie znieczulenie...

W głębi duszy wiedziała, że nie ma wyboru.

- Pojadę z tobą go obejrzeć - zaproponowała.

Nie zaprotestował.

- Jesteś pewna, że chcesz? - spytał tylko, unosząc brwi. - Jeśli tak, to dzięki. Pojedziemy tym. - Wskazał palcem mały odkryty pojazd, coś jak skrzyżowanie terenówki z wózkiem golfowym, zaparkowany na podjeździe. - Za kilka minut będziemy na miejscu.

Po chwili wyłonił się z budynku z zestawem do pierwszej pomocy w rękę.

- Jestem pod wrażeniem - powiedziała. - Jesteś przygotowany na każdą ewentualność.

- Tak, muszę być gotowy na wszystko. Nawet w samochodzie zawsze mam pod ręką zestaw ratunkowy. Przecież w każdej chwili mogą zadzwonić ze szpitala.

- Rozumiem - powiedziała, coraz bardziej niespokojna. - Często na plantacji zdarzają się wypadki?

- Nie, raczej rzadko. Staramy się uczyć naszych pracowników bezpiecznego posługiwania się narzędziami, ale wypadki są nieuniknione. Chodzi nam o to, żeby ich było jak najmniej. Zmieniłem też zasady wynagradzania. Płacę stałą pensję, moi ludzie nie pracują na akord. Na razie bardzo dobrze się to sprawdza.

Gdy dotarli na miejsce, Cade zeskoczył z samochodziku i pobiegł w stronę niewielkiego zbiegowiska. Gdy się pojawił, ludzie umilkli i rozstąpili się, umożliwiając dostęp do pacjenta.

Cade przyklęknął obok rannego, na oko siedemnastoletniego chłopca, który trzymał się za rękę, chcąc zatamować upływ krwi. Twarz miał wykrzywioną bólem, był bardzo blady.

- Pokaż mi, Thomas.

Cade badał ranę. Było to dość głębokie nacięcie na grzbiecie dłoni, między kciukiem a palcem wskazującym.

- Możesz poruszać palcami? Zaciśnij i rozprostuj dłoń. O tak...

Cade prawie niedostrzegalnie kiwnął głową.

- Wygląda, że miałeś, chłopie, dużo szczęścia. Nic sobie poważnie nie uszkodziłeś. Straciłeś sporo krwi i, co oczywiste, jesteś w szoku. Trzeba będzie oczyścić ranę i założyć kilka szwów. Mogę cię zawieźć do szpitala albo możemy to zrobić w domu. Jak wolisz? - zapytał, uważnie obserwując chłopca.

- Wolę na miejscu, bardzo proszę...

- Okej. - Cade pogrzebał w torbie w poszukiwaniu sterylnych opatrunków. -

Położę ci na ranie tampon, żeby zatrzymać krwawienie, a potem nałożę opatrunek. Pojedziemy do domu, tam ranę oczyścimy i zszyjemy.

Mówiąc, cały czas zajmował się opatrywaniem zranionej ręki.

- Okej, teraz pojedziemy. - Skinął na dwóch robotników, by pomogli mu umieścić chłopca na tylnym siedzeniu. - Jak to się stało, Thomas? Pamiętasz, jak się skaleczyłeś?

Thomas potrząsnął głową.

- To stało się tak jakoś nagle... Zamachnąłem się maczetą, żeby rozkroić strąk i kątem oka coś zobaczyłem. To mogła być mała jaszczurka biegnąca po trawie.

- Hm, to niełatwa sytuacja. Zdarza się, ale pamiętaj, żeby zawsze cały czas patrzeć na ostrze. - Cade zasępił się. - Może powinniśmy wyposażyć wszystkich w skórzane rękawice?

- Jest w nich za gorąco, szefie - odezwał się jeden z robotników. - Nikt nie będzie tego nosił.

- Dobra, coś się wymyśli. Może znajdziemy rękawice z otworami do wentylacji... Nie chcę tu więcej wypadków, skoro można im zapobiec. - Spojrzał na pracownika, który się wypowiedział. - Benjamin, mógłbyś zawiadomić rodziców Thomasa? Powiedz im, że już wszystko okej.

- Robi się, szefie.

Umieszczono chłopaka w pojeździe, a Rebecca usiadła obok niego, by sprawdzić, czy został prawidłowo przymocowany pasami i czy jego ręka znajduje się w wygodnej dla niego pozycji.

W domu Cade wprowadził Thomasa przez drzwi wprost do jednego z pokoi, który najwyraźniej pełnił tu funkcję lecznicy. Stała tam leżanka pokryta czystym płótnem oraz cały szereg szklanych naczyń wypełnionych lekami i drobnymi przyborami lekarskimi. W kącie stała umywalka z kranami z nierdzewnej stali, dozownikiem do mydła i stosem papierowych ręczników.

- Usiądź tutaj, Thomas. Dopasuję ci oparcie - powiedział Cade, a gdy chłopiec już siedział wygodnie, poszedł umyć ręce.

- Mam ci pomóc w znieczuleniu? - spytała Rebecca.

Potwierdził ruchem głowy.

- Będę wdzięczny. Użyjemy lidokainy, a potem przemyjemy ranę sterylną wodą destylowaną. Będzie potrzebował kilku szwów.

Wspólnie zajęli się raną chłopca, a gdy Cade skończył szycie, Rebecca nałożyła jałowy opatrunek i umocowała go za pomocą plastra.

- Dam ci antybiotyk, Thomas - wyjaśniał Cade - żeby nie wdało się zakażenie. Musisz uważać, żeby nie zabrudzić rany, dobrze? Za tydzień mi się pokażesz. Sprawdzimy, czy wszystko goi się zgodnie z planem. Dobrze się czujesz? - Spojrzał na chłopca z troską.

Thomas pokiwał głową.

- Tak, dziękuję.

Ciągle był blady, ale powypadkowy szok już mijał.

- Pani Chalmers zrobi herbatę i da ci w kuchni coś do zjedzenia - mówił Cade,

pomagając chłopakowi podnieść się z leżanki. – Powoli. Twój ojciec zaraz po ciebie przyjedzie, ale nie ma pośpiechu.

– Dzięki, doktorze Byfield. – Thomas się uśmiechnął. – Przykro mi, że sprawiłem panu kłopot.

– Żaden kłopot, Thomas. Ale nie lubię oglądać, jak ktoś się zrani, zwłaszcza na moim terenie. Dlatego proszę, żebyś od dziś bardziej na siebie uważał.

– Jasne. Jeszcze raz dziękuję.

Cade zaprowadził go do kuchni, wielkiego, wspaniale wyposażonego pomieszczenia z drzwiami wychodzącymi na najszerszy punkt werandy. Ustawiono tam stół i krzesła, a Harriet Chalmers czekała z krzepiącą siłą herbatą, rogalikami domowego wypieku i konfiturami.

Ojciec Thomasa pojawił się dokładnie w momencie, kiedy chłopak, posługując się zdrową ręką, zaczął pałaszować te pyszności. Cade rozmawiał z mężczyzną przez kilka minut, zapraszając go do stołu i częstując. Dopiero po chwili zwrócił uwagę na Rebecę.

– Zostawmy ich samych – zaproponował. – Dla nas Harriet przygotowała kanapki w pokoju śniadaniowym. Tędy, proszę.

Wprowadził ją do małego pokoju z dwoma parami przeszklonych drzwi na przeciwległych ścianach. Skromne meble – biały stół, krzesła oraz pomalowany na biało kredens. Ustawione za jego szybą talerze i naczynia stanowiły jedyny barwny akcent tego pomieszczenia, jeśli nie liczyć paproci w doniczkach, które były rodzajem łącznika ze znajdującym się na zewnątrz światem przyrody.

Uwagę Rebekki przykuł bukiet jasnożółtych orchidei na śniadaniowym stole.

– Ale śliczne! – zachwyciła się. – Cały ten pokój jest cudowny. Kojarzy się z chłodem, świeżością i odpoczynkiem.

– Cieszę się, że ci się podoba – odparł Cade z uśmiechem. – Harriet przynosi tu kwiaty z ogrodu. Prowadzi mi dom i gotuje, uważa, że bez niej umarłbym z głodu. I pewnie ma rację – dodał po chwili zadumy. – Nigdy nie byłem dobry w gotowaniu. Umiem zrobić tylko jajka na twardo i naleśniki.

– W takim razie szczęśliwie się składa, że ją masz.

Spojrzała na to, co oferował stół. Było tego mnóstwo: trójkątne kanapki przybrane liśćmi kruchej sałaty, siekane mięso z kurczaka z papryczkami i grzybami, ryż z przyprawami, salsa z mango.

– Boże, wiele bym dała, żeby ktoś dla mnie tak gotował!

Zjedli posiłek i pili herbatę, cały czas rozmawiając o plantatorskich planach Cade'a.

– Od początku myślałeś o zatrudnieniu Williama? – spytała po chwili. – Studiował rolnictwo.

– Tak się złożyło – przyznał. – Ale tak naprawdę to mój ojciec był zainteresowany produkcją żywności. Mam to po nim.

– A co on teraz robi?

Skoro mają wspólną pasję, dlaczego nie pracują razem?

– Pracuje w Parku Narodowym Everglades na Florydzie. Zmienił zaintereso-

wania, teraz pasjonuje go ochrona środowiska i przywracanie dzikiej przyrody.

Powiedział to z nutą sarkazmu w głosie. Czyżby nie dogadywał się z ojcem?

- Widujecie się?

- Pozostajemy w kontakcie. Widzimy się co najmniej raz w miesiącu. Ale odkąd rozstał się matką, to ona jest moim priorytetem.

- Przepraszam, nie wiedziałam. Czy mama mieszka tu, na wyspie?

- Tak. Ona i jej siostra, matka Williama, zachęciły mnie do zajęcia się plantacją. Mieszka blisko, niecałe dwa kilometry ode mnie. Często się widujemy.

- To dobrze. Rodzina to podstawa.

- Tak. Często dochodzimy do tego wniosku dopiero, jak już jej nie mamy. Ty pewnie dużo o tym wiesz. - Spojrzał na nią badawczo. - Domyślam się, że jest ci przykro, że Emma musiała pojechać do pracy?

- Tak, ale mówi się trudno. Wykorzystam jej nieobecność i powłóczę się samotnie po wyspie. William mówił, że tu są cudowne plaże, ciekawe sklepy i targi, w ogóle mnóstwo rzeczy do zwiedzania. Sąsiednie wyspy objadę już pewnie razem z Emmą.

- Jasne. O ile zrozumiałem, przyjechałaś tu na kilka miesięcy. To musi być fajne, zrobić sobie takie długie wakacje. - Popatrzył na nią z dziwną miną. - Ale przecież masz świetne kwalifikacje, jesteś kompetentna. Widziałem, jak dawałaś sobie radę przy Thomasie. To dla mnie niejasne: jak znakomity lekarz może zostawić pracę i wybrać się na tak długo na drugi koniec świata?

- Naprawdę? - Podniosła filiżankę do ust i powoli sączyła herbatę. - Masz rację, ludzie nieczęsto na coś takiego się decydują. A ja? Może po prostu lubię korzystać ze sprzyjających okoliczności? - rzuciła nonszalancko i natychmiast poczuła, że Cade nie kupuje jej tłumaczenia.

- Coś się stało? Tam w Hertfordshire? Coś cię stamtąd wyгнаło?

Wahała się przez chwilę, a potem odrzekła głucho:

- Nic, o czym chciałabym mówić.

- Przepraszam. Nie powinienem był pytać.

- W porządku - powiedziała lekko, spoglądając na zegarek. - O, robi się późno. Zadzwońię po taksówkę. Ty i tak poświęciłeś mi mnóstwo czasu.

- Ależ skąd! Ja wprawdzie muszę tu zostać i dopilnować pracowników, ale poproszę Benjamina, żeby cię odwiózł. Cieszę się, że przyjechałaś. A może wieczorem poszlibyśmy na jakiegoś drinka?

- Przykro mi, ale obawiam się, że już coś zaplanowaliśmy.

- Z Williamem?

- Nie, ze znajomym Emmy.

- Rozumiem - powiedział z wyraźną ulgą. - Kolega z pracy?

- Nie. Emma wynajmuje od niego swój domek. Wpadł do nas dziś rano, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku, trochę porozmawialiśmy i zaproponował mi wspólne wyjście. Chętnie się wybiorę, skoro nie ma Emmy. Co się dzieje? - spytała, widząc że Cade zeszywniał i zmrużył oczy. - Właśnie potwierdziła się twoja opinia omnie jako o zabawowej panience?

Spojrzał na nią przenikliwie.

- Och, nic mi o tym nie wiadomo, Rebecca. Wygląda na to, że chcesz miło spędzić czas na Karaibach i z całego serca ci tego życzę. Chciałbym się również w miarę możliwości do tego przyczynić. I chciałbym móc cię lepiej poznać - do-kończył.

ROZDZIAŁ TRZECI

Rebecca przysłuchiwała się zawodzeniu wiatru i mimowolnie się wzdrygnęła. Wichura zdążyła już przewrócić jeden ze słupków w płocie. Trzeba będzie wyjść, postawić go i na powrót umocować, bo inaczej może upaść cały płot.

W nocy nastąpiło załamanie pogody i Rebecca nie wiedziała, co ma robić. Trochę się bała...

Pewnie gdyby był z nią Cade, byłoby inaczej. Przy nim czuła się bezpiecznie. Ale cóż, nie ma go. I raczej się tu nie pojawi.

Nie miała pojęcia, jak potraktować jego wczorajsze wypowiedzi. Starła się nie dać nic po sobie poznać, ale jednak chyba wyczuł, że coś przed nim ukrywała.

Wychodząc na dwór, rozmyślała, co czyni go tak atrakcyjnym. Jest bez wątpienia człowiekiem ambitnym, inteligentnym i spostrzegawczym. Troszczy się o tych, którzy go otaczają. Zna imiona wszystkich pracowników, mimo że zatrudnia całą armię ludzi. Zna także ich rodziny, dzieli ich radości i smutki.

Postawiła drewniany słupek pionowo i za pomocą znalezionego w szopie drewnianego pobijaka starła się go umieścić głębiej w gruncie. Bez większych rezultatów – uparty słupek ciągle odchyłał się i chwiał na wszystkie strony.

– Trzymaj pobijak za koniec trzonka – usłyszała nagle. – Uzyskasz lepszą dźwignię i silniejszy nacisk.

Obejrzała się. Pod rozłożystym figowcem ktoś stał.

– Cade? Cześć – przywitała go zdumiona.

W świetnie skrojonym ciemnym garniturze wyglądał wspaniale.

– Nie słyszałam, jak podejdziesz. Nie spodziewałam się ciebie. Wszystko w porządku?

Odgarnęła włosy z czoła wierzchem dłoni.

– Właśnie wracałem ze szpitala i pomyślałem, że wpadnę. Powinienem może nawet wcześniej, ale miałem dyżur. Dawno się nie widzieliśmy, co? Dwa dni?

– Tak. Ale wczoraj rozmawiałam z Williamem. Wprowadzał mnie w różne tujejsze sprawy. Powiedział, że żniwa idą dobrze i że Thomas nie może się doczekać powrotu do pracy.

Jeszcze raz uderzyła pobijakiem i kołek wszedł w ziemię na głębokość kilku centymetrów. Postęp był, ale niestety niewystarczający. Słupek chwiał się nadal, a szalejący wiatr obiecywał następne atrakcje.

– Mogę? – Cade wyjął jej z ręki pobijak i kilkoma zręcznymi uderzeniami przywrócił płotowi dawną stabilność. – Czy to nie gospodarz powinien dokonywać takich napraw? – spytał, gdy podawała mu gwoździe, którymi umacniał całą konstrukcję.

- Nie ma sensu zawracać mu głowy takimi głupstwami. - Wzruszyła ramionami, przez co jedno ramiączko topu zsunęło się, odsłaniając nagie ramię.

- Pewnie masz rację, ale mam nadzieję, że chociaż zamki w okiennicach wam naprawił. Przy sztormie, kiedy coś się nie domyka, to prawdziwy dramat.

- Tak, naprawił. To było podobno proste.

- To dobrze. Częściowo dlatego tu przyjechałem, żeby sprawdzić. A jak randka z nim?

- Całkiem, całkiem - odparła pogodnie.

To miłe, że Cade interesuje się jej życiem, ale trzeba się mieć na baczności.

- Jest młody jak na właściciela, około trzydziestki - mówiła. - Ale to pewnie taki rodzinny biznes. Rodzice mają agencję nieruchomości. Byliśmy w nocnym klubie w kurorcie. Świetnie się bawiliśmy.

Nie wyglądał na zadowolonego z jej odpowiedzi.

- Masz zamiar jeszcze się z nim spotkać?

- Kto wie?

Miło było spędzić z nim czas. Następnego dnia poszli na kawę. Ale gdyby miało dojść do czegoś... Chłopak jest miły, ale ona nie była gotowa na bliższą znajomość.

- Wymieniliśmy się telefonami, ale wolę się nie umawiać, dopóki nie wiem, kiedy Emma będzie wolna. Nie chcę, żeby wracała do pustego domu.

- To zrozumiałe - stwierdził Cade z ulgą. - A co u niej? Podobno się niepokoisz? Nie ma jej już ponad dwa dni, tak?

Zwrócił jej pobijak, upewniwszy się, że płotowi nic już nie zagraża.

- Dzięki - powiedziała. - A tam chyba musi być coś nie tak z telefonami. Pewnie nie ma zasięgu z powodu burzy. Fakt, trochę się martwię, bo miała dzwonić. Wejdziemy do domu? - zaproponowała, chowając narzędzie do szopy.

- Świetny pomysł, pora już schronić się przed tym wietrzyskiem. Tylko coś wyjmę z samochodu. Mam twoją walizkę, linie lotnicze pozwoliły mi ją odebrać w twoim imieniu.

- Naprawdę?

- Zadzwoń i pogonił im kota, bo William mi powiedział, że cię ignorują. Nie masz mi za złe? Znam trochę tych ludzi...

- Jasne, że nie mam za złe! Jak ci się to udało? Już myślałam, że nigdy jej nie zobaczę.

- Przeprowadziłem małe śledztwo. - Uśmiechnął się jadowniczo. - Bagaż trochę krążył między Barbadosem a Martyniką, ale w końcu udało się go namierzyć.

- Chwała ci za to! Cudownie! - Miała ochotę rzucić mu się na szyję, ale zadowolona się lekkim dziękczynnym dotknięciem ramienia. - Wniesiesz mi ją do domu? Dzięki! Tak się cieszę!

- Nie wątpię. Gdzie zanieść? Do sypialni?

- Tak, proszę. Tędy.

Spojrzał na starannie zasłane łóżko i laptop na biurku w kącie pokoju. Stąd drzwi również wychodziły na werandę.

- Twoja siostra miała szczęście z tym domem. Jest tu wszystko, czego potrzeba do życia - powiedział, stawiając walizkę w nogach łóżka.

Gdy się wyprostował, było widać, jaki jest postawny. Przytłaczająca męska obecność w ciasnym pokoiku.

- Racja. Przejdźmy do kuchni, zaparzę kawę.

- Bardzo mi się przyda, dziękuję.

Pomógł nakryć do stołu, a ona nasypała świeżo zmielonej kawy do ekspresu i szukała po szufladach jakichś ciasteczek. Znalazła cynamonowe, z miejscowej piekarni.

Cade zdjął marynarkę i powiesił ją na oparciu krzesła. Czekał, aż Becky naleje kawę i dopiero wtedy usiadł.

- Naprawdę myślisz, że nadciąga sztorm? - spytała, sącząc gorący płyn.

- Jest tuż-tuż. Zdążył zaatakować południe wyspy i się zbliża. Wiatr się wzmacnia i tylko patrzeć, jak lunie.

Zagryzła wargi.

- To może nie powinnam cię tu trzymać, przecież musisz jeszcze dojechać na wzgórze. Z tego, co słyszałam, tutejsze burze są tysiąc razy gorsze niż u nas, w Anglii.

- Boisz się?

- Może trochę. Człowiek zawsze się boi, jak nie ma pewności, co go czeka.

- Mogę tu zostać. Przekonamy się razem.

Prawie niezauważalnie skinęła głową. Poczowała prawdziwą ulgę.

- A mógłbyś? Na pewno byłoby mi raźniej.

- Jasne.

Dopił kawę i podszedł do drzwi.

- Po pierwsze trzeba pozamykać wszystkie okna, drzwi i okiennice. Zaraz zrobi się ciemno, więc powinnaś zawczasu poszukać świeczek.

- Myślisz, że może paść elektryczność?

- Owszem, to się często zdarza. Wiatr zrywa linie. Może też zabraknąć wody. Powinnaś zrobić zapasy na wszelki wypadek.

Wyszedł na zewnątrz pozamykać okiennice. W domu oczywiście zrobiło się od razu ciemno. Pojawiły się pierwsze krople deszczu, a po kilku sekundach lało już jak z cebra. Niebo pociemniało. Rebecca rozlała resztę kawy do filiżanek i włączyła radio, żeby usłyszeć najnowsze doniesienia.

- Mam nadzieję, że Emma i jej koleżanki są bezpieczne - odezwała się.

- W głębi lądu jest spokojniej - potwierdził Cade. - Cały impet idzie tu, na wybrzeże.

Rozległy się grzmoty, chatka prawie się od nich trzęsła. Rebecca starała się tego nie zauważać, ale z przerażenia miała szeroko otwarte oczy. Paplała, co jej ślina na język przyniesie, o pięknie Karaibów i kolorowej dzikiej przyrodzie, a on opowiadał jej o swojej pracy i o tym, jak jeszcze na Florydzie zainteresował się medycyną.

- Będzie okej - uspokajał ją. - Brzmi to gorzej, niż jest naprawdę.

- Skoro tak mówisz... Ale potrwa chyba kilka godzin. - Podeszła do kuchenki, żeby się czymś zająć. - Ugotuję jakąś zupę, mam też świeże bułeczki i masło.

- Wspaniale.

Kolejny piorun uderzył bardzo blisko. Rebecca podskoczyła i zbladła ze strachu, bo wydawało jej się, że trafił w ich domek, który zaraz się rozpadnie.

Cade podszedł i objął ją ramieniem.

- Nic się nie stało - uspokajał ją. - Co najwyżej obluzowało się kilka gontów na dachu. Ta chata jest solidnie zbudowana.

Kiwnęła głową, zdając sobie sprawę, że Cade za wszelką cenę stara się zapewnić jej dobre samopoczucie. Jego ten wściekły huragan zdawał się nie dotyczyć. Przywarła do niego z lekkim wstydem, ale i z radością, że może to zrobić i czuć się bezpiecznie. Była jednak w pełni świadoma, że taka bliskość niesie też z sobą pewne zagrożenia.

- Już dobrze - powiedziała po chwili.

Nie mogą sobie pozwolić na taką, zbyt kuszącą, intymność. Dopuszczać, by weszła im w krew.

- Jesteś pewna? - Spojrzał na nią badawczo. - Jeśli o mnie chodzi, mogę cię trzymać tak długo, jak to będzie potrzebne.

Kąciki ust podniosły mu się w lekkim uśmiechu, a w oczach pojawiły się iskierki. Nie miała wątpliwości, że to duże ciepłe ciało to dla niej wspaniałe schronienie.

- Tak - odparła mimo to. - Dam sobie radę. Muszę zobaczyć... co z zupą - dokończyła, by mieć pretekst to uwolnienia się z uścisku.

Uwijała się przy kuchni, a on, patrząc na nią, zapytał:

- Tam, w Hertfordshire, miałaś chłopaka? Nie wyobrażam sobie, żeby takiej dziewczynie faceci dali spokój. Zostawiłaś go? Złamałaś mu serce?

Zaśmiała się nerwowo. Jeszcze dziś na wspomnienie Drewa w gardle rosła jej gula. Nie kochała go już, ale ból pozostał.

- Był ktoś, ale się nie ułożyło - odparła. - Powiedzmy, że to ja zdecydowałam się odejść.

- Aha. - Zamilkł na chwilę. - Tak myślałem.

Zamieszała zupę i postawiła na stole głębokie talerze.

- A co z tobą? - zapytała. - Niczego ci nie brakuje, ale kobiety jakoś nie wiadc.

- Życie nauczyło mnie ostrożności. Przekonałem się, że kobiety zawsze mają jakieś swoje ambicje. Chcą małżeństwa, dobrobytu, pozycji. To niby zrozumiałe, ale nie jako namiastka zwykłych ludzkich uczuć.

- A więc ktoś cię zranił? Porzucił? - bardziej stwierdziła, niż spytała. - Masz złe doświadczenia, ale to jeszcze nie znaczy, że wszystkie kobiety takie są.

- Może i nie. - Wzruszył ramionami.

- To dlatego tak pilnujesz Williama? Boisz się, że i jemu stanie się krzywda?

- W pewnym sensie tak. Zakochał się w kimś, ale ona go zdradziła. Potem zachorował mu ojciec i chłopak nagle został głównym żywicielem rodziny. Siła złe-

go na jednego. Jakoś daje sobie z tym radę, ale na leczenie wuja musieli sprzedać dom i zamieszkali na plantacji. Przez to jeszcze bardziej zależy mi, żeby odnieść sukces. Kiedyś zrobię Williama swoim wspólnikiem, a być może wuja także.

- Przykro mi, że tyle się na ciebie zważyło. Czy wuj ma szansę wyzdrowieć?

- Taką mam nadzieję. Bierze leki, ma specjalną dietę i musi dużo odpoczywać.

Wszystko zależy, w jakim stopniu serce zostało uszkodzone. Może da się z tego wyjść.

- Nie sądziłam, że jest aż tak źle. William potrafi świetnie ukrywać swoje problemy, prawda?

Usiedli przy stole i na zasadzie cichego porozumienia zmienili temat rozmowy. Zastanawiali się, czy burza nie zaszkodzi plantacji.

- Być może stracimy kilka drzew, ale zbiory są w toku, a dom i plony są dobrze zabezpieczone. Nie będzie źle. Najbardziej martwię się o stan dróg. Jeśli rzeki wyleją, będą trudności z przejazdem.

- Władze chyba coś zrobią, żeby... - Przerwało jej potężne uderzenie pioruna tuż obok. Światła pogasły. - O nie... Prąd diabli wzięli.

Cade wziął z kuchennego blatu jedną z postawionych tam przez Becky lamp sztormowych na baterie. Dawała w miarę jasne światło, mogli więc komfortowo dokończyć posiłek.

Niestety wkrótce potem na suficie ukazała się wilgotna plama, z której zaczęło kapać.

- A więc miałem rację co do tych gontów - stwierdził Cade, krzywiąc się. - Musiała zostać uszkodzona warstwa izolacji. Sprawdzę, czy tylko w tym miejscu.

Niestety również w pokoju Rebekki ciekło z sufitu.

- Mogę zrobić jakąś prowizorkę - powiedział Cade - ale wasz gospodarz będzie musiał jak najszybciej naprawić dach.

- Dam mu znać. Pomóc ci jakoś?

- Może znajdziesz folię czy coś w tym rodzaju?

- Mogą być worki na śmieci?

- Świetnie. Dobra byłaby też jakaś taśma klejąca.

Z kuchennej szuflady wyjęła stos foliowych worków.

- Na strychu w skrzynce narzędziowej widziałam taśmę PCV. Mamy też składaną drabinę.

- Okej, zostaw to już mnie.

Cade naprawiał uszkodzenia, a Becky przyświecała mu lampą sztormową.

- Powinno na jakiś czas wystarczyć - oznajmił, gdy zszedł z drabiny i razem wrócili do kuchni.

A co do burzy, to chyba właśnie się oddalała. Najgorsze za nami. Jego komórka leżała na stole, sygnalizując nadejście drugiego już esemesa.

- Nie powinieneś odpowiedzieć? - spytała.

- Masz rację. Wprawdzie teoretycznie nie muszę być teraz pod telefonem, ale

zważywszy na okoliczności... – Spojrzał na wyświetlacz, odczytał wiadomość i skrzywił się. – To ze szpitala. Mają mnóstwo rannych z powodu burzy. Wzywają wszystkich na pomoc.

– A więc musisz pojechać? Czy to bezpieczne prowadzić w takich warunkach?

Bała się o niego, ale wiedziała, że nie czułby się dobrze, zostając u niej, podczas gdy w szpitalu czeka mnóstwo potrzebujących.

– Chyba nie mam wyboru. Ale nie chciałbym tak cię tu zostawiać. Jeśli sztorm powróci, ten dach nie wytrzyma. Czułbym się pewniej, gdybyś przeczekala ten czas w domu na plantacji.

Pokręciła głową.

– Dzięki za zaproszenie, ale nie mogę skorzystać. Nie wiem, co z Emmą, nie mogę się do niej dodzwonić. Ona nie ma pojęcia, co tu się dzieje. Powinnam chyba zostać. Zwłaszcza że dach już nie przecieka.

– Nie, nie możesz tu zostać – rzekł zdecydowanie. – Ta naprawa to prowizorka. A Emmie możesz zostawić kartkę i napisać, gdzie cię znaleźć. Poza wszystkim nie masz tu elektryczności. Na plantacji jest natomiast prądnicą. Emma da sobie radę, jestem pewien. Telefony padły chwilowo, już wkrótce będziesz się mogła do niej dodzwonić.

– No nie wiem... Chciałabym ją zobaczyć, przekonać się, że wszystko w porządku. Powinnam pojechać w góry i ją znaleźć.

– Dobrze, ale nie teraz. Pomyśl tylko, Becky... Dopóki wszystko się nie uspokoi, nie możesz ani tu zostać, ani odwiedzić siostry. Musisz pojechać ze mną. Pozwól mi się sobą zaopiekować.

– Nie będziesz mi mówił, co mam robić, Cade. – Pokręciła głową. – Sama potrafię się sobą zaopiekować. Zostanę tu, zwłaszcza że burza już się oddala.

– Pewnie, że potrafisz. Ale nawet nie wiesz, co się jeszcze może wydarzyć. Te burze bywają kapryśne. Ja cię tu samej nie zostawię, nie ma mowy.

– Doprawdy? – Uniosła brwi. – Niestety nie masz wyboru. Ja podjęłam taką, a nie inną decyzję. To nie twoja broszka.

– Tak? No to spróbuję przekonać cię w inny sposób...

Zanim zdążyła się zorientować, podszedł do niej i niespodziewanie złożył na jej ustach gwałtowny władczy pocałunek, który ciepłem rozszedł się po całym jej ciele. Rozchyliła usta i przywarła do niego. Żarliwy uścisk przyprawiał ją o drżenie.

Nigdy dotąd nie doznała niczego podobnego. Jego pocałunek wzbudzał żar namiętności, a dotyk rąk powodował, że chciała więcej. To był nagły i jakże kuszący atak, a jej opór słabł. Chciała, by to trwało wiecznie, by Cade zamknął ją w ramionach, a jego ciało napierało na nią, obiecując raj na ziemi.

Ale tę olśniewającą chwilę przerwał nieoczekiwany wstrząs, który zachwiało ścianą budynku.

Becky zamarła przerażona.

– Burza... – wyjąkała. – Czy ten domek ma wystarczająco mocną konstrukcję? Coś się musiało stać, jakaś poważna szkoda...

- Prawdopodobnie runęło drzewo. - Cade z ociąganiem wypuścił ją z ramion i otworzył drzwi kuchni, by sprawdzić, co się stało. Zamknął je natychmiast. - Tak, miałem rację. Wichura osłabiła drzewo i w końcu się przewróciło. Musimy się stąd ewakuować, Becky. Chyba teraz rozumiesz, że mam rację.

Pokiwała głową.

- Chyba tak.

Nawet ona musiała przyznać, że znaleźli się w niebezpieczeństwie. Dom otoczony jest wysokimi drzewami. Co będzie, gdy zaczną się łamać jedno po drugim, jak zapałki?

- Włożę twoje rzeczy do samochodu. - Ruszył w stronę sypialni. - Coś jeszcze chcesz zabrać?

- Nie... chyba nie.

- Weź kurtkę. Wiatr trochę osłabł, ale ciągle pada.

Nie musiał jej tego mówić. Słyszała, jak krople bębnią w dach, w okiennice.

- Okej. Ale może pojedźmy do szpitala. Ja w końcu też jestem lekarzem, mogę się przydać.

- Wolałbym nie. Przecież chciałaś odpocząć od medycyny, prawda? A poza tym nie znasz tutejszej specyfiki. Będę spokojniejszy, kiedy znajdziesz się w domu na plantacji. Jedno zmartwienie mniej.

No cóż, ludzie na plantacji też mogą potrzebować jej pomocy. Skoro on nie chce z nią pracować...

Biegnąc do samochodu, szybko się rozejrzała. Większość ogrodu przetrwała wicher, ale kilka drzew było połamanych. Jedno pękło wzdłuż i to właśnie część jego pnia uderzyła w ściany chaty.

Jechali, oglądając spustoszenia spowodowane przez sztorm. Zniszczone plony, poprzewracane bananowce i rajskie figi, zalane pola. W którymś momencie Cade, z jej pomocą, musiał usunąć z drogi stertę naniesionych przez wodę z wylanej rzeki odpadów, by można było jechać dalej.

Wkrótce dotarli do niewielkiej osady. Kilka czy kilkanaście domów skupionych wokół jeziora, do którego wpadało kilka wodospadów. Przy ładnej pogodzie musiał to być przepiękny widok.

- Spójrz tam! - Wskazała porzucony samochód. - Coś się stało, musimy sprawdzić.

Pojazd stał przy zakręcie, gdzie szosa prowadziła na mostek nad strumieniem. Teraz jej powierzchnia nikała pod zwałami betonu i pokruszonych skał. Most najwyraźniej się zawalił. Samochód pewnie wjechał w strumień i teraz jego przód tkwił w stercie błota.

- Boże, tam są ludzie! - zawołała Rebecca. - Trzeba im pomóc.

Cade wysiadł z SUV-a i wyjął z bagażnika lekarską torbę. Rebecca szła za nim, sapiąc, bo mokre dżinsy utrudniały jej ruchy.

W samochodzie młody człowiek, kierowca, leżał przechylony w stronę siedzenia pasażera. Ze skroni sączyła mu się krew. Pasażerka wyglądała na nieprzytomną. Tył samochodu był zalany wodą.

Rebecca szarpnęła drzwiami, ale były prawdopodobnie automatycznie zamknięte.

- Przyniosę klucz francuski, trzeba wybić szybę - powiedział Cade.

Gdy to zrobił, otworzył drzwi od środka.

Młody mężczyzna w samochodzie zdawał się odzyskiwać przytomność.

- Co się stało? - mamrotał. - Aha, pamiętam... Most...

- Miałeś wypadek - odparł Cade. - Uderzyłeś się w głowę. Czy może gdzieś jeszcze? Coś cię boli?

- Nie, tylko głowa... - Nagle jakby się ocknął do końca. - Jane, moja żona...

Ona chyba jest ranna, krwawi.

Był oszołomiony i najwyraźniej w szoku.

Cade wyprowadził go z samochodu, a Rebecca wśliznęła się do środka, by zbadać pasażerkę. Kobieta miała urywany oddech i bardzo słaby puls. Po chwili poruszyła się, a Rebecca westchnęła z ulgą.

- Jane - zapytała szybko. - Czy coś cię boli?

- Boli... jak oddycham... - jęczała ranna. - Boli mnie klatka piersiowa.

- Chyba złamałaś kilka żeber - odparła Rebecca, badając ją pobieżnie. - To nic poważnego. Zawieziemy cię do szpitala.

- A moje dziecko? - martwiła się kobieta. - Co z nim?

- Dziecko? - zdziwiła się Rebecca. - Jesteś w ciąży?

- Nie... nie... moje dziecko.

Usiłowała się odwrócić mimo bólu, a Rebecca z przerażeniem stwierdziła, że kobieta patrzy na tylne, zanurzone w wodzie siedzenie.

- O nie...

Zaczęła się wsuwać za siedzenie kierowcy i wtedy przybiegł zszokowany Cade. Mężczyzna musiał mu powiedzieć o dziecku. Otworzył tylne drzwi.

- Tam jest dziecięcy fotelik - powiedział. - Muszę znaleźć uchwyt.

To trwało sekundy, ale jej wydawało się wiekiem. Cade wyciągnął z wody fotelik. Wstrzymała oddech, gdy ujrzała zakleszczoną w nim bezwładną sylwetkę dziecka i opadającą główkę z mokrymi loczkami oblepiającymi śmiertelnie blade czoło.

- Nie...nie... to nie dzieje się naprawdę - powtarzała gorączkowo Rebecca, rozpaczliwie próbując zbliżyć się do dziecka, w czym przeszkadzał jej silny strumień płynącej wody.

- Zostaw ją mnie - odezwał się Cade ostrym tonem. - A ty zajmij się kobietą. Wyciągnij ją z samochodu! Niech ona i mąż będą bezpieczni!

Jak automat wykonywała jego polecenia, cały czas myślami będąc przy dziecku. Mniej więcej roczna dziewczynka miała bladą puciołowatą buzię i siną obwódkę wokół ust. Rebecce ścisnęło się serce. Jakie to niesprawiedliwe. Takie rzeczy nie powinny mieć miejsca.

Zaprowadziła młodego człowieka i jego żonę w bezpieczne miejsce i usadziła ich na trawiastej górcie z dala od wody. Mężczyzna miał objawy wstrząsu mózgu, kobieta ledwie oddychała z powodu połamanych żeber. Ale i tak mieli szczęście.

Choć utrata dziecka niewiele ze szczęściem ma wspólnego...

- Okryję was czymś - powiedział Rebecca. Z nadmiaru emocji z trudem łapała oddech. Miała pełną świadomość, że obojgu uratowanym w każdej chwili grozi wstrząs. - Zostańcie tu.

- Ale moja córeczka! - krzyknęła zrozpaczona kobieta.

- Zajmiemy się nią. Ja zaraz wrócę.

Cade reanimował dziecko. Położył je na ziemi obok swojego samochodu i wykonywał masaż serca na przemian ze sztucznym oddychaniem.

- Dwadzieścia osiem, dwadzieścia dziewięć, trzydzieści... - odliczał, po czym zaczynał od nowa: - Jeden, dwa, trzy...

Rebecca trzęsącymi się rękami przeszukiwała bagażnik. Z torby lekarskiej wyciągnęła dwa foliowe okrycia. Z bólem serca obserwowała wysiłki Cade'a.

- ...dwanaście, trzynaście, czternaście...

Robił, co mógł, ale czy nie jest za późno? Jak długo dziewczynka była pod wodą? Nie mogła o tym myśleć.

- Zadzwoń do szpitala uprzedzić, że przyjeżdżamy - powiedziała, a on przytaknął ruchem głowy, nie przerywając czynności ratowniczych.

- ...dwadzieścia dziewięć, trzydzieści.

I znów dwa oddechy usta-usta.

Rebecca owinęła rodziców termoizolacyjnym materiałem. Rwali się do dziecka, ale byli w takim stanie, że było to niemożliwe.

Oddalając się o kilka kroków, by nie mogli jej słyszeć, zadzwoniła do szpitala. Zapowiedziała, że przywiozą dziecko, co do którego jest nadzieja, że jeszcze żyje, oraz dwoje poważnie rannych dorosłych.

Po czym spojrzała w stronę Cade'a i usłyszała odgłos krztuszenia się. Podbiegła i zobaczyła, że Cade układa dziewczynkę na lewym boku, w pozycji bezpiecznej. Mała wymiotowała.

- Oddycha? - zawołała przez ściśnięte gardło, nie dowierzając.

- Tak - odparł spokojnie Cade. - Zaczęła się krztusić, zakasłała i pozbyła wody z płuc. Podasz mi tlen i maskę? Rozmiar dziecięcy.

- Już się robi.

Gdy grzebała w torbie, lzy ciurkiem płynęły jej po twarzy.

- Nie wiemy, jak długo była pozbawiona tlenu, prawda? - spytała, podając mu potrzebny sprzęt. - Ale woda na szczęście jest zimna...

- Tak, to sprzyjająca okoliczność - potwierdził.

Czyli ryzyko uszkodzenia mózgu przez niedotlenienie jest nieco mniejsze. Mógł zadziałać tak zwany odruch nurkowania. Spowalnia on rytm serca, przez co zmniejsza się zapotrzebowanie na tlen, zwłaszcza ze strony serca i mózgu. U dzieci działa to silniej niż u dorosłych. Jest szansa, że dziewczynka z tego wyjdzie.

- Pójdę do rodziców i powiem im - zaproponowała. - Pomogę im wsiąść do twojego samochodu.

- Dobra. Ojciec niech siada przy mnie, a ty z matką i dzieckiem z tyłu.

- Okej.

Przyjrzał się jej uważnie, z troską.

- A ty? Dobrze się czujesz?

Poczuła się spłoszona, że o to pyta. Oczywiście, widok dziecka w tym stanie jest zawsze czymś rozpaczliwym. Dopiero jednak po sekundzie dotarło do niej, że machinalnie położyła sobie rękę na brzuchu. Jakby chciała osłonić miejsce, które być może nigdy nie będzie zdolne do noszenia dziecka.

Czasami wydawało jej się, że czuje, jak bołą ją zabliznione jajowody, ale kładła to na karb reakcji psychicznej. O wiele gorsze jest urodzić dziecko, karmić je, pielęgnować, a potem utracić w tak okropny sposób, co o mało nie stało się udziałem tych tutaj rodziców. Nie wiadomo nawet do końca, czy się nie stanie...

- Tak, wszystko w porządku. Niepokoję się po prostu o bezpieczeństwo tej rodziny. Dokonałeś niemal cudu, jestem pod wrażeniem. - Spojrzała na niego z uznaniem i uwielbieniem.

Dziewczynka ciągle była wprawdzie w niebezpieczeństwie, ale już mniej błada, a i usteczka się jej zaróżowiły.

- Ty też byś tego dokonała. Chciałaś zresztą ratować dziecko, kiedy życiu rodziców raczej już nic nie zagrażało.

- Ona musi jak najszybciej znaleźć się w szpitalu. Zdejmij jej mokre ubranka i owiń tym - powiedziała, podając Cade'owi mniejszą płachtę z folii.

- Za chwilę jedziemy - odparł. - Chcę tylko się upewnić, że mała jest stabilna. Puls ma ciągle dość nierówny.

Siedząca w samochodzie matka głaskała odzyskane dziecko. Widać potrzebowała kontaktu mimo własnego niewyobrażalnego bólu.

- Ma na imię Annie - powiedziała. - Mój aniołek.

Rebecca siadła obok, podtrzymując dziecku maskę tlenową. Była pewna, że w szpitalu zrobią wszystko, by uratować dziewczynkę, ale pozostaje jeszcze kwestia późniejszych skutków. Płuca były dość długo zalane wodą, może wywiązać się zapalenie.

Jazda zdawała się nie mieć końca, chociaż naprawdę trwała jakieś trzy kwadransy. Dwukrotnie musieli usuwać z jezdni połamane konary drzew.

Wreszcie dotarli do szpitala. Annie została natychmiast zabrana na oiom, a jej rodzice na rentgen.

- Mógłbym cię odwiedzić, ale pewnie chcesz poczekać i dowiedzieć się, jak się czuje Annie? - powiedział Cade do Rebekki.

- Tak, poczekam. Nie mogłabym spokojnie usiedzieć.

- Ja też. Chodźmy do mojego gabinetu. Znajdą nas, kiedy będą jakieś wieści.

Szła za nim, automatycznie stawiając nogę za nogą. Nie bardzo pamiętała, jak się tu w ogóle znalazła. A jaki koszmar muszą teraz przeżywać rodzice dziecka?

Cade wprowadził ją do jasnego pokoju, gdzie znajdowało się biurko z drewnianym blatem, tapicerowane krzesła i dwuosobowa kanapa. Becky omiotła pomieszczenie niewidzącym spojrzeniem.

- Pewnie chcesz iść pomóc kolegom - powiedziała cicho, starając się zebrać

myśli.

- Nigdzie nie pójde, dopóki nie przekonam się, że doszłaś do siebie - odparł. Podszedł do niej i ją objął. - To chyba było dla ciebie za dużo. Bardzo się angażujesz w sprawy pacjentów, prawda? Czy to dlatego rzuciłaś pracę?

- Nie, ale nie chcę o tym mówić. Proszę, nie pytaj więcej - powiedziała szorstko. - Nie jestem w stanie o niczym teraz myśleć. Chcę tylko wiedzieć, że z tą małą wszystko jest w porządku.

- Ja też. Martwię się o nią. - Objął ją mocniej, jakby chciał przekazać swoją siłę. - Ale martwię się też o ciebie, Becky. Chcę ci pomóc. Możesz mi zaufać.

Milczała. Zamknęła oczy i przytuliła policzek do jego koszuli. Tak bardzo chciała mieć komuś zaufać, mieć pewność, że to wszystko dobrze się skończy. Ale w głębi duszy była przekonana, że to niemożliwe.

Cade jest dobrym człowiekiem, ale ma swoje problemy i wyzwania. A jej życie... Nic nie da się już z niego wymazać. Nawet on tego nie potrafi zrobić.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Usiedli oboje na kanapie. Cade'owi udało się znaleźć suche i czyste ubrania, w które mogli się przebrać – lekarskie fartuchy, luźne spodnie i T-shirty używane przez pracowników pogotowia. Rebecca od razu poczuła się nieco lepiej.

Potem Cade znów ją objął, rozmawiali, aż wreszcie poczuła, że odzyskuje siły.

Była niezadowolona ze swojej reakcji na wydarzenia tego dnia. Zawsze miała się za niezależną i zdecydowaną, ale po doświadczeniach ostatnich miesięcy wiele rzeczy zaczęło ją przerastać. I Cade musiał to zauważyć.

– Jak się czujesz? – zapytał. – To było traumatyczne przeżycie, prawda?

– Ze mną wszystko w porządku. To było trudne dla nas obojga. A jak ty się czujesz? To musiało być okropne ratować tę dziewczynkę i nie wiedzieć, czy w końcu zaczniesz oddychać.

– Zrobiłem, co do mnie należało. W takich chwilach się nie myśli. Tak jak ty z zawałowcem w samolocie. Działa się automatycznie.

– Pewnie tak. A jednak cię podziwiałam. Ani przez sekundę się nie poddawałaś. Jestem z ciebie dumna.

– Cóż, jestem lekarzem. Wybrałem ten zawód, żeby pomagać i ratować ludzi.

– Spojrzał na nią i odgarnął jej włosy ze skroni. – Bałem się o ciebie, Becky. Niepokoiliś się o dziecko, ale było w tym chyba jeszcze coś. Coś bardzo głęboko skrywanego. Powiedz mi, co jest nie tak? Czy to ma coś wspólnego z powodami, dla których rzuciłaś pracę? Umarł ci pacjent? Jakieś dziecko, którym się opiekowałaś?

Nie odpowiedziała mu wprost. Jeszcze nie była gotowa na wyjawienie prawdy. Poza tym bała się, że Cade zmieni swoje nastawienie do niej.

– Zdarza się. Tracisz pacjentamimo najwytrwalszych wysiłków. Medycyna nie na wszystko zna odpowiedź.

Przerwało jej pukanie do drzwi. Zesztywniała, a Cade odsunął się od niej. To było bardzo przykre – utracić oparcie, jakie dawało jej jego silne ciepłe ciało.

– Cześć, Cade. – Do pokoju wszedł lekarz prowadzący Annie. – Mam tylko minutę. Sprawa nadal jest poważna.

– Cześć, James – odparł Cade i przedstawił koledze Rebekkę.

– Miło mi cię poznać. To podobno ty zauważyłaś ich samochód. Cóż, nie mam dobrych wieści. Robimy, co możemy, aby rozgrzać dziewczynkę, ale na razie bez większych rezultatów. I tak ma szczęście, że przeżyła.

Cade przytaknął ruchem głowy i poszedł w kąt pokoju włączyć ekspres do kawy.

– Już jak ją znaleźliśmy, myśleliśmy, że jest martwa. Napijesz się kawy? – zaproponował Jamesowi.

- Chętnie, może zdążę. Wyobrażam sobie, co musieliście czuć. Podajemy jej ogrzewany tlen i dożylnie ciepłe płyny infuzyjne, więc temperatura ciała powinna się systematycznie podnosić. Musimy mieć nadzieję, że nie będzie powikłań, a jednocześnie się na nie przygotować.

Rebecca wzdrygnęła się. Nie chciała nawet o tym słyszeć. Dziecko musi wyzdrowieć.

Pili kawę, a James przekazywał im informacje o stanie zdrowia rodziców dziewczynki. Matka złamała trzy zębra, ojciec miał wstrząs mózgu. Oboje dostawali środki przeciwbólowe i byli pod obserwacją.

- Są w dobrych rękach - powiedziała Rebecca. - Chociaż pewnie macie teraz o wiele więcej pacjentów niż zazwyczaj. W izbie przyjęć i na korytarzach widziałam tłumy ludzi. Przeżywacie ciężkie chwile.

- Masz rację. Wysłaliśmy apel do lekarzy o stawienie się, ale zważywszy sytuację na drogach, nie wszyscy mogą tu dotrzeć.

- Ja jestem do waszej dyspozycji - odezwał się Cade.

- Ja też - dodała Rebecca. - Jestem lekarką - wyjaśniła, widząc zdumienie na twarzy kolegi. - Chociaż nie specjalizuję się w ratownictwie. Ale mogę się przydać, gdziekolwiek jest taka potrzeba.

- To cudownie! - Twarz Jamesa rozjaśniła się entuzjazmem. - Każda para rąk i oczu mile widziana. Masz może jakieś doświadczenie w położnictwie? Wiozą do nas kobietę. Zaczęła rodzić kilka godzin temu, ale po karetkę zadzwoniła dopiero, kiedy skurcze stały się bardzo częste. A to jej pierwsze dziecko. Dzwonimy na położniczy, ale tam wszyscy są zawałeni robotą. - Spojrzał na nią z nadzieją. - Potrzebujemy kogoś natychmiast. Sanitariusze z karetki ostrzegają, że poród może być ciężki.

Rebecca poczuła, jak z twarzy odpływa jej krew. Na samo słowo „położnictwo” czuła kamień w żołądku.

- Dobrze, obejrzę ją, jeśli chcesz. Jestem po kursie położniczym, bo robiłam specjalizację z neonatologii.

Gdy zbierała się w sobie, Cade rzucił jej uważne spojrzenie. Pewnie się zastanawia, dlaczego tak zbladła. Miała nadzieję, że tym razem o nic nie zapyta. Kiedy zgłaszała chęć pomocy, myślała, że będzie miała pacjentów po urazach, niekoniecznie matki z dziećmi. Ale cóż, teraz nie ma wyboru. Nie będzie beczynnie się przyglądać, kiedy wokół jest tyle cierpienia.

- Bóg nam cię zesłał. Ona zaraz powinna tu być. Zaprowadzę cię na izbę przyjęć. Sekretarka da ci do podpisania wszystkie potrzebne papiery.

- Okej. - Zaczerpnęła powietrza. - Idź i prowadź.

Gdy wszyscy troje szli korytarzem, podeszła do nich pielęgniarka.

- Dzwonili z karetki wiozącej panią Nelson. Władowali się na drzewo. Nic się nikomu nie stało, ale utknęli tam. Są jakieś dziesięć minut od szpitala. Poród tuż-tuż. I wygląda na to, że pośladowy.

- Dzięki, Greta - odparł James spokojnie. - Powiedz im, że już kogoś wysyłam. - Spojrzał na Rebecę. - Gotowa?

- Tak, ale muszę tam jakoś dojechać. Na taksówkę raczej nie ma co w tej sytuacji liczyć.

- Ja cię zawiozę - odparł Cade. - Przy pośladowym przyda się dodatkowa pomoc. Chyba powinniśmy ruszać.

- Okej.

Uchylając się przed porywistym wiatrem, poszła za nim na parking. Deszcz lał jak z cebra i niemal natychmiast przemoczył jej kurtkę, ale nawet tego nie zauważyła. Myślami była przy kobiecie w karetce. W przypadku ułożenia pośladowego dobrze byłoby móc wykonać cesarkę, ale w tych warunkach, gdy poród jest w dodatku bardzo zaawansowany, to będzie raczej niemożliwe.

- Zaraz tam będziemy - mówił Cade, ostrożnie prowadząc samochód. - Na pewno tego chcesz? Nie chciałem się wtrącać, ale widziałem, jak zareagowałaś na słowa Jamesa, że potrzebny będzie położnik. Jeśli chcesz, wezmę to na siebie.

- Nie zgodziłabym się, gdybym nie była pewna - odparła pośpiesznie. - Dam radę.

- Też tak myślę. Okej.

Po chwili zauważyli samochód przygnieciony drzewem papai. Był mocno zniszczony. Cud, że nikomu nic się nie stało. Oczywiście pomoc drogowa została wezwana, ale zgłoszeń było tyle, że nie było nadziei, by się szybko pojawiła.

Rebecca wyskoczyła z samochodu, chcąc jak najszybciej obejrzeć pacjentkę. Opiekowała się nią dwójka ratowników medycznych, kobieta i mężczyzna.

- Cześć, jestem Jimena - przedstawiła się ratowniczką. - Dobrze, że ktoś do nas przyjechał, prawda, Kenzie? - spytała pacjentkę.

Kenzie Nelson kiwnęła głową. Jej spocone czoło świadczyło o dużym bólu i zapewne stresie.

- Skurcze regularne, rozwarcie na sześć centymetrów, wody odchodzą - meldowała Jimena. - Podaliśmy znieczulenie wziewne, ale chyba nie pomogło.

- Widzę, że wszystko jest na dobrej drodze - powiedziała Rebecca z pełnym otuchy uśmiechem. Przedstawiła siebie i Cade'a, po czym odezwała się do rodzącej: - Mogę ci zrobić zastrzyk z petydyny, złagodzi ból, ale możesz się po nim poczuć trochę śpiąca.

- Tak, poproszę.

Rebecca nałożyła rękawiczki chirurgiczne, zbadała ciśnienie, częstotliwość skurczy i puls płodu. Wyjaśniła Kenzie, że potomek wystawi na świat najpierw nóżki albo pośladki.

- Wszystko idzie zgodnie z planem - uspokoiła pacjentkę na koniec.

Jej samej brakowało spokoju. Porody pośladowe bywają pełne niespodzianek. Najlepiej, żeby się odbywały w sali operacyjnej.

- Przygotujcie tlen i gaz do znieczulenia w razie czego - poleciła Rebecca sanitariuszom. - I sprawdźcie, może mamy próżniociąg.

Trzeci ratownik, a jednocześnie kierowca, Marcus, powiedział, że będzie w stałym kontakcie radiowym ze szpitalem.

- A ty monitoruj stan matki i dziecka. - Rebecca spojrzała na Cade'a.

- Jasne - zgodził się.

Kilka minut po zastrzyku znieczulającym skurcze stały się częstsze.

- Mamy pełne rozwarcie. Widzę pupę dziecka - oznajmiła Rebecca. - Muszę cię teraz trochę naciąć - uprzedziła Kenzie - żeby dziecku było łatwiej wyjść. Ale znieczulę cię miejscowo, nie będzie bolało. A teraz - dodała po chwili - włożę palec i postaram się wyciągnąć jedną nóżkę dziecka. Jak się czujesz?

- Nieźle. Ale chcę, żeby było już po wszystkim.

- Nie wątpię. To nie potrwa długo. Świetnie sobie radzisz.

Rebecca wyjęła prawą nóżkę dziecka, po czym przekręciła je tak, by łatwiej było wyciągnąć lewą. Wstrzymywała oddech.

- Świetnie - rzekł po chwili Cade z uśmiechem ulgi. - O, jest chłopiec!

- Mąż bardzo chciał syna - sapnęła zachwycona Kenzie.

- A teraz damy podzielać naturze - powiedziała cicho Rebecca.

Ukazał się maleńki łokieć i po kilku zręcznych manewrach Rebekki obie rączki wyszły z ciała rodzącej. Następnie Rebecca podłożyła dłoń pod główkę dziecka, po czym delikatnie ją przekręcając, wydobyła całą istotkę na świat. Zetknąwszy się z chłodnym powietrzem, malec wydał z siebie krzyk protestu, a Rebecca poczuła dławienie w gardle. Chłopak jest cały i zdrowy.

Cade błyskawicznie odessał wydzielinę z jego nosa i ust, po czym owinął go w kocyk i ułożył w ramionach rozanielonej matki, która momentalnie zapomniała o bólu, strachu i zmęczeniu.

Rebecca też cieszyła się szczęściem Kenzie i jej dziecka, gdy nagle poczuła w sercu bolesne ukłucie. Czy jej będzie dane kiedykolwiek tak tulić w ramionach własne dziecko?

Rozważała w przyszłości operację przywracającą drożność jajowodów, ale Drew nie był tym zainteresowany. („Przepraszam, wiem, że to nie twoja wina, ale ja... ja już nie mogę”.)

Miłośnik doskonałości. A ona? Cóż, jest... hm... wybrakowana. Zaczęła się bać, że wszyscy mężczyźni będą tak ją traktować.

Musi się otrząsnąć.

Cade patrzył na nią. Sam cieszył się narodzinami dziecka w niczym niezakłócony sposób, ale widział, że ją coś gryzie. Zignorowała jego ciekawość i skupiła uwagę na pacjentce.

- Dam ci teraz zastrzyk, który pomoże ci wydalić łożysko - powiedziała.

Młoda matka pokiwała głową, ale widać było, że wszystkie jej myśli są przy dziecku.

Cade bez przerwy monitorował stan niemowlęcia. Wyglądało na to, że wszystko jest w porządku. Gdy pępowina została już zawiązana, podeszła Jimena, która też chciała obejrzeć dziecko. Rebecca ustąpiła jej miejsca.

Marcus przez ostatnie kilka minut rozmawiał ze szpitalem i ogłosił, że nadchodzą posiłki, co wszyscy skwitowali wybuchem śmiechu.

- Przepraszam, że to tyle trwało - rzekł na powitanie kierowca karetki, która

właśnie nadjechała. - Co tu u was słychać?

- Matka i dziecko czują się dobrze.

Rebecca zdała załodze karetki relację o stanie zdrowia matki, a Cade zrobił to samo w odniesieniu do dziecka.

- Jest trochę wychłodzony - powiedział. - Musicie go rozgrzać.

- Jasne, możesz być spokojny.

- Dzięki.

Gdy karetka odjechała, Rebecca i Cade wsiedli do SUV-a.

- Kawał dobrej roboty. Byłaś fantastyczna, w każdym calu, w każdej sekundzie - odezwał się, gdy ruszyli.

- Dzięki. Dobrze, że wszystko skończyło się pomyślnie.

Jechali po ciemku. Wertepy wiodły ich w stronę miasta. Na szczęście deszcz chyba zaczął słabnąć. Rebecca oparła plecy o luksusową tapicerkę i na chwilę przymknęła oczy.

- Dobrze się czujesz? Tam w karetce wyglądałaś, jakby coś cię gnębiło. Chcesz o tym porozmawiać? Chętnie ci pomogę.

- Nie, wszystko dobrze. To był ciężki dzień.

To prawda, rzadko zdarza się tyle komplikacji w ciągu kilku zaledwie godzin. A teraz jeszcze muszą jechać do szpitala, by dowiedzieć się o stan zdrowia małej Annie.

- No i ciągle martwię się o Emmę - dodała, wybierając numer siostry. - Nie mogę się do niej dodzwonić.

Czuł, że Rebecca nie mówi mu wszystkiego, ale nic nie mógł na to poradzić.

- Nadal nie odbiera? - zapytał, gdy zastygła z telefonem przy uchu.

- Niestety. To do niej niepodobne, żeby się nie odezwać. Musiało coś się stać.

- Już ci mówiłem, pewnie padła sieć. A może Emma jest zajęta. Albo śpi. Wiesz, jest już dość późno.

- Pewnie masz rację. Ale jeśli to dłużej potrwa, będę musiała jej poszukać.

Usiłowała się uspokoić i zrelaksować przed przybyciem do szpitala. Wtedy jej telefon się odezwał.

- To William. - Spojrzała na wyświetlacz.

- Pewnie znów chce się z tobą umówić - stwierdził Cade, patrząc z ukosa i ściągając brwi.

- Niewykluczone.

Przez chwilę gawędziła z Williamem, pytając, jak mu minął dzień i jak się miewa jego ojciec. On ze swej strony zapytał o Emmę.

- Nie mogę się z nią skontaktować. Trudno mi o spokój, kiedy nie wiem, co z nią jest.

- Wiem, jak się czujesz - zapewnił ją William. - Też się o nią martwię. Ale pewnie tam w górach nie ma zasięgu.

To dziwne. William martwi się o Emmę? Przecież prawie się nie znają. Ale z Emmą już tak jest. Wszyscy ją lubią, jest taka przyjacielska i troskliwa.

- Jutro wczesnym popołudniem kończę pracę na plantacji - ciągnął. - Mogliby-

śmy pójść razem na plażę. O ile już nie będzie sztormu, oczywiście. Trochę byś się rozerwała.

- Niech ci Bóg wynagrodzi, prawdziwy z ciebie anioł - powiedziała z uśmiechem. - Brzmi to cudownie, bardzo bym chciała.

Gdy skończyła rozmowę, Cade zmarszczył brwi.

- Wygląda na to, że masz się spotkać z Williamem?

- Tak. Zabiera mnie na plażę.

- Rozumiem. Dobrze się dogadujecie, nie?

- Cóż, jesteśmy przyjaciółmi. Wiele nas łączy.

Może to powtarzać w nieskończoność, a Cade i tak będzie niespokojny. Czy to zazdrość? Żeby oderwać jego myśli od tego tematu, zaczęła trajkotać:

- Mówi, że jego ojciec bierze teraz kortykosteroidy, żeby zmniejszyć stan zapalny mięśnia sercowego. Dają mu też coś na uregulowanie rytmu serca.

- Miejmy nadzieję, że jego stan się poprawi.

Przez resztę drogi do szpitala już się nie odezwał. Czyżby aż tak troszczył się o wuja?

- Annie ma oznaki obrzęku płuc - James przywitał ich na oddziale ratownictwa ponurą nowiną. - To się, jak wiecie, zdarza nawet w kilka godzin po podtopieniu. Już myślimy, że wszystko jest okej, a tu nagle załamanie.

- Dajecie jej coś moczopędnego, żeby usunąć wodę z płuc? - spytała Rebecca.

- Jasne, że dajemy. Poza tym ciągle musimy walczyć z niestabilnym rytmem serca i regulować ciśnienie. Wierz mi, robimy, co tylko w naszej mocy. - James położył jej rękę na ramieniu.

- Wiem, nie wątpię. Przepraszam. Może przyjrzę się innym pacjentom czekającym na przyjęcie? Chcę się czymś zająć.

- Świetnie. Ja się spieszę, niech Cade wtajemniczy cię we wszystko.

Cade przyjrzał się jej badawczo.

- Nie sądzisz, że na dziś wystarczy? Jest już bardzo późno. Odwiozę cię do domu. Dzwoniłem do Harriet, żeby przygotowała ci pokój. Zrobi też dla nas kolację.

Rebecca pokręciła głową.

- Nigdzie się nie ruszę, dopóki nie będę miała pewności, że stan Annie się poprawił.

- Okej - zgodził się bez przekonania. - A jak będziesz miała dość, możesz skorzystać z kanapy w moim gabinecie. Daj znać, gdybyś czegoś potrzebowała.

- Nie musisz się o mnie martwić, dam sobie radę - odparła, patrząc na niego. - To raczej ty powinieneś położyć się na chwilę. Przecież przyjechałeś do mnie tuż po dyżurze. Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, jakim cudem jeszcze trzymasz się na nogach.

- Lata praktyki. - Uśmiechnął się zgryźliwie. - I do tego niebywała wytrzymałość materiału. Energia, witalność, giętkość ciała i umysłu - wyliczał, starając się zachować kamienną twarz.

- Tak, tak! - Roześmiała się i pomachała mu na do widzenia.

Pacjenci czekają.

Nie potrafiła się jednak powstrzymać przed rzuceniem na niego okiem, gdy odchodził. Był naprawdę w świetnej formie. Szczupły, zwinny. Boże, miej w opiece jego pacjentki. Serce musi im wszystkim bić w niebezpiecznie szalonym tempie.

W nocy ranni z powodu burzy pacjenci zjawiali się dosłownie jeden po drugim. Trudno było nawet uzupełniać na bieżąco dokumentację.

- Zajrzemy do Annie? - zaproponował w jakimś momencie Cade. - Są przy niej teraz tylko pielęgniarki, rodzice rozmawiają z lekarzami.

- Jasne. A masz jakieś wieści?

- James mówi, że chyba zaczęła reagować na leczenie.

Dziecko leżało na obserwacji w łóżeczku otoczonym monitorami, na których wyświetlały się rozmaite parametry stanu organizmu. Spała. Jej blade policzki były miejscami z lekka zaróżowione.

- Temperatura, puls, oddech, ciśnienie... - Rebecca z rosnącą ulgą przyglądała się kolejnym cyfrom. - Już prawie w normie. Przeżyje. A jak ze sprawami neurologicznymi?

- Nieźle. Rozpoznaje rodziców, reaguje na nich - czytał Cade z karty pacjenta.

- Bogu niech będą dzięki. Cudownie - westchnęła Rebecca z głębi serca. - To był koszmar. Cały ten dzień to jedna wielka trauma.

Jako lekarz była przyzwyczajona do ciężkich sytuacji, ale ostatnie miesiące osłabiły jej odporność.

- Ale ci się trafiły wakacje, co? - Cade położył dłoń na jej ramieniu. - Czas do domu. Oboje potrzebujemy odrobiny snu. Zobaczysz, rano poczujesz się o wiele lepiej.

Krętą drogą wjeżdżali na wzgórza, na których znajdowała się plantacja. Deszcz ledwie siąpił, wiatr zelżał. Burza trwała więc stosunkowo krótko, ale była wystarczająco gwałtowna, by zalać drogi, zniszczyć mosty i spowodować liczne osuwiska utrudniające życie na wyspie.

- Rano zadzwonię do gospodarza - rzekła Rebecca. - Mam nadzieję, że szybko naprawi uszkodzenia.

- Może mu to zająć kilka dni. Trudno będzie o fachowców, mają mnóstwo roboty na całej wyspie. To może oznaczać, że w domu na plantacji będziesz musiała zostać przez tydzień, a nawet dłużej. - Spojrzał na nią z ukosa. - Zapraszam.

Zaparkował samochód, zaprowadził ją do domu, a sam wrócił po jej rzeczy, które ciągle miał w bagażniku. Dom był piętrowy, z holu na górę wiodły szerokie schody.

- Pokażę ci pokój gościnny. Jest tam też łazienka i mnóstwo miejsca w szafach.

- Jaki piękny - powiedziała, gdy tam weszli.

Cade zwrócił jej uwagę na drzwi wychodzące na taras, z którego - jak obiecywał - już rano będzie mogła podziwiać piękny widok. Zaproponował też, że przyniesie jej na tacy posiłek, który zostawiła dla nich Harriet. Rebecca przyjęła ten

gest z wdzięcznością.

Podszedł do niej i lekko oparł dłonie na jej ramionach. Nie był rozczarowany, że nie chciała zjeść z nim kolacji na dole. Wiedział, że oboje padają z nóg.

- Byłaś dziś wspaniała. Nie wiem, co poszło nie tak w Anglii, ale wyczuwam, że masz jakiś problem z pracą przy małych dzieciach. Rozumiem też, że nie chcesz o tym mówić. Szanuję to.

Delikatnie pocałował ją w czoło.

- Dlaczego to zrobiłeś? - spytała cicho.

- Bo wydawało mi się, że tego potrzebowałaś. I chcę, żebyś wiedziała, że zawsze możesz na mnie liczyć. Zaraz przyniosę ci jedzenie. Postawię je na stole, więc nie krępuj się, możesz w każdej chwili iść pod prysznic.

- Dzięki - mruknęła.

Wygląda, że zaciągnęła u niego kolejny dług. Najpierw w porcie obronił ją przed intruzem, dziś ocalił przed zalaniem, naprawiając dach w jej domu. A teraz to.

Patrzyła, jak odchodzi, i nagle poczuła, że nie jest jej obojętny. Jak mogło do tego dojść? Skąd w niej tyle czułości w stosunku do tego człowieka? Jest mu wdzięczna, to jasne, ale jest w tym jeszcze coś... głębszego.

Chętnie poprosiłaby go, by został. I on zapewne by się zgodził. Widać było, że niełatwo było mu opuścić pokój. Ale to oznaczałoby komplikacje. Nieuchronne zakochanie, a potem ból serca, gdy Cade się dowie, że ona ma taką okropną skazę.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Witaj.

Cade spotkał Rebeccę rano, gdy weszła do kuchni. Zatrzymał wzrok - trochę dłużej, niż to było potrzebne - na jej ołówkowej, uwydatniającej biodra spódnicy i topie bez rękawów, za to z frędzlami, który ukazywał całe mnóstwo nagiej, gładkiej, złotawej skóry.

Jak na wielozadaniowca przystało, jednocześnie smażył angielskie muffiny, ubijał coś w rodzaju holenderskiego sosu oraz gotował jajka w koszulkach.

- Dobrze spałaś? - zapytał.

- Owszem, dziękuję. Zasnęłam, kiedy tylko przyłożyłam głowę do poduszki. I miałeś rację co do widoku. Jest fantastyczny.

Faktycznie - rozpościerające się w dole lasy tropikalne, wzgórza, a w oddali jaskrawoblękitne wody zatoki.

- Cieszę się, że zerknęłaś - odrzekł z uśmiechem. - Pomyślałem, że na śniadanie będą jajka po benedyktyńsku. Lubisz?

- Wspaniale! Umieram z głodu, to chyba przez to świeże powietrze. Tu w ogóle nie widać, że była burza. Wszystko wygląda jak świeżo umyte.

- Tak, po sztormie cała przyroda wraca do życia.

Przez otwarte okna do domu wdzierały się światło i ożywcza bryza. Na werandzie Rebecca dostrzegła elegancko nakryty stolik, dzbanek z sokiem i dwie szklanki.

Cade zsunął gorące maślane placuszki na podgrzane w piecyku talerze, ułożył na nich plasterki wędzonego łososa, następnie jajka w koszulkach. Wierzch polał sosem holenderskim i posypał wszystko szczypiorkiem.

- Zjemy na powietrzu, dobrze?

Wyniósł na werandę tacę ze śniadaniem, a także z dzbankiem świeżo zaparzonej kawy i porcelanowymi kubeczkami.

- Tu jest jak w raj - powiedziała, gdy usiedli do stołu. - Tak powinien się zaczynać każdy dzień.

Ta część werandy wychodziła na ogród, gdzie cytryny, tamaryndowce i ananasy otaczały nienagannie utrzymany trawnik. Z jego zielenią kontrastowały szkarłatne kwiaty żyworódki i purpurowe bugenwille, które wraz z różowymi i żółtymi, słodko pachnącymi plumeriami tworzyły kwietne obwódki. W rogu ogrodu znajdował się staw z liliami wodnymi o brzegach porośniętych mnóstwem jaskraworóżowych rozchodników okazałych.

- Cieszę się, że ci się podoba. Dom i ogród to moja druga, po plantacji, miłość. Rośliny rozwijają się tu wspaniale, ogrodnik ma za zadanie tylko nieco je okiełznać. Uwielbiam tu posiedzieć rano przed pracą i doładować akumulatory.

- To jedzenie jest pyszne - powiedziała, delektując się aksamitnym sosem i miękkim żółtkiem rozpływającego się w ustach jajka. - A mówiłaś, że nie umiesz gotować!

- Mam dość ograniczony repertuar. - Uśmiechnął się ironicznie. - Jajka, pizza, w ostateczności naleśniki. W każdym razie z głodu przy mnie się nie umrze.

- Po prostu nie masz czasu na pichcenie?

- To prawda. Zwłaszcza w ostatnim czasie, odkąd mam plantację i dom. To miejsce - powiódł wzrokiem dookoła - było, jak mówiłem, dość zrujnowane i wymagało sporo pracy. No i czasu.

Nalał jej kawy, a ona dodała do niej cukier i śmietankę.

- Pięknie urządziłaś kuchnię. Masz świetny gust.

- Dziękuję, lubię, jak jest jasno, lekko i przestronnie - odrzekł z uśmiechem. - Jeżeli chcesz, pokażę ci resztę domu.

- Chętnie, jeśli masz czas. Nie idziesz dziś do pracy?

- Teoretycznie mam być pod telefonem. Może później pojedę do szpitala, mam trochę papierkowej roboty. A od jutra dwudniowy urlop. Planowałem wykorzystać go na nadzorowanie wykończenia nowego budynku dojrzewalni. Ale może zlecę to Williamowi.

Po śniadaniu rozpoczęli zwiedzanie domu.

Salon był bardzo obszerny, z trzema parami przeszklonych drzwi wychodzących na werandę. Podłoga z jasnego dębu, większość mebli z drewna, w podobnej tonacji. Jedyne stolik kawowy miał blat z jasnozielonego szkła korespondującego kolorem z porostawianymi tu i ówdzie w pokoju paprociami w donicach. Za oknami widać było palmy, juki i pnące filodendrony.

Na górze Cade pokazał jej szereg sypialni, każda z własną łazienką i szklanymi drzwiami wychodzącymi na obszerny balkon.

- Ten dom jest przepiękny - oświadczyła z westchnieniem. - Ale jak masz zamiar zaludnić wszystkie te pokoje? Spodziewasz się tak wielu gości?

Uśmiechnął się.

- Od czasu do czasu miewam gości, ale masz rację: ten dom jest ogromny. To jeden z powodów, dla których zdecydowałem się na tę nieruchomość. Wszystko mi się tu podoba. Mam nadzieję, że pewnego dnia założę rodzinę i dom się zapełni. Nie rozmyślam nad tym zbyt wiele, nie planuję konkretów, ale taka myśl tkwi mi gdzieś z tyłu głowy. Nie miałem rodzeństwa, moi rodzice wcześniej się rozstali. Nie chciałbym powtarzać tych doświadczeń w swoim przyszłym życiu.

- Widzę, że rodzina wiele dla ciebie znaczy - powiedziała, starając się patrzeć mu w oczy.

Serce jej krwawiło. Wiedziała, że jakiegokolwiek zaangażowanie w związek z nim to z jej strony szaleństwo.

- Tego ci w życiu brakowało - dodała.

Przytaknął ruchem głowy.

- Pewnie tak. Nie analizowałem tego aż tak dogłębnie, ale sądzę, że podświadomie kupowałem ten dom z myślą o szczęśliwej rodzinie.

- O ile oczywiście spotkasz odpowiednią kobietę - zauważyła z naciskiem. - Wspominałeś, że masz z tym kłopot.

Roześmiał się.

- No tak. Chyba nie miałem szczęścia do kobiet, z którymi się umawiałem. Ale to się może zmienić. - Zatrzymał się przy poręczy schodów i spojrzał na nią znacząco. - Kto wie, co przyniesie los? Na przykład teraz stoję tu obok niewiarygodnie pięknej dziewczyny, w dodatku myślącej, troskliwej, o łagodnym charakterze. Każdy o takiej marzy.

Zbliżył się do niej, przyciągnął do siebie i wziął w ramiona. Pocałował - delikatnie, czule. Serce zaczęło jej bić jak szalone, nie była w stanie tego powstrzymać. Przesunął dłońmi wzdłuż jej kręgosłupa i przycisnął ją mocniej do siebie. Jej piersi przylgnęły do jego torsu. Na moment straciła zdolność oddychania. Na chwilę uległa nawet pożądaniu i przytuliła się do Cade'a mocniej. Ale szybko odzyskała zdrowy rozsądek i położywszy dłoń na jego piersi, delikatnie go odepchnęła.

Nie wolno jej się angażować. Niezależnie od tego, jak bardzo tego pragnie.

- Tak nie może być - wyszeptała.

Przecież on się nią tylko bawi. Nie wolno jej uwierzyć, że Cade jej pragnie, bo potem może być za późno. Jego pocałunek tam w chacie też nie miał żadnego znaczenia, prawda?

- Ja nie chcę się z nikim wiązać, Cade - powiedziała głucho. - Mam to już za sobą. Dla mnie to się zawsze źle kończy. Nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki. Przynajmniej nie tak szybko.

- Nie dasz się przekonać?

- Na twoim miejscu nie liczyłabym na to - odrzekła energicznie, choć bez przekonania. - Wiesz, jak jest. Przyjechałam tu na wakacje, chcę się bawić, brać życie takim, jakie jest. Zero zobowiązań, zero komplikacji, jeśli można tak powiedzieć.

Cofnęła się. Bliskość Cade'a była dla niej zbyt kusząca. Obiecywała coś, czego nie była w stanie osiągnąć. Poczowała nagłą rozpaczliwą chęć ucieczki. Zaczęła schodzić po schodach, wiedząc, że Cade idzie za nią.

- Aha. I chcesz w to wciągnąć Williama, tak? Dla mnie nie ma w tym wszystkim miejsca? - mówił z pełnym napięciem wyrazem twarzy. - Chcesz być z nim.

Wyglądało na to, że Rebecca zmierza wprost do samozniszczenia, ale postanowiła brnąć w to dalej.

- No cóż, jego poznałam jako pierwszego. I to on zaproponował, że zabierze mnie dziś na plażę. Już nie mogę się doczekać.

To było okrutne, nie powinna traktować go aż tak ostro. Ale to chyba lepsze, niż dać mu nadzieję, a potem zranić jeszcze głębiej? Przecież gdy Cade pozna prawdę o niej, nie będzie chciał z nią być. A teraz ona nie jest gotowa, aby mu tę prawdę wyjawić. Zresztą nawet sama przed sobą nie umiała przyznać, że jej los jest przesądzony.

Patrzył na nią, wstrząśnięty jej impertynencją. Chyba chciał coś jej powie-

dzieć, ale właśnie odezwał się jego telefon. Przełknął przekleństwo i wyjął aparat z kieszeni.

- To pewnie ze szpitala - mruknął.

Spojrzał na ekran i przeczytał esemesa. Schował telefon z powrotem.

- Szpital? - zapytała.

- Nie, ale mnie wzywają.

- Przykro mi. Musisz jechać.

Przez chwilę zbierał się w sobie, po czym się odezwał:

- Nie chcę, żebyś tu tkwiła samotnie. Poproszę Benjamina, żeby cię zawiózł, gdzie będziesz chciała.

- Dzięki, nie trzeba. Nie mogę ciągle polegać na tobie i na Williamie. Spróbuję wynająć sobie jakiś samochód.

Zamyślił się na chwilę.

- Słuchaj, ja mam rzadko używany samochód z napędem na cztery koła. Możesz go sobie wziąć. Nie jest najnowszy, ale zadbany. Normalnie czasem jeździ nim wuj, ale teraz, jak wiesz, nie może prowadzić. Więc póki co jest twój.

- Och, naprawdę? Dziękuję.

Spojrzała na niego z uśmiechem. Nie zasłużyła sobie na taką uprzejmość, choć wiedziała, że częściowo jest ona spowodowana strachem, by nie wpadła w sidła Williama...

Kuzyn rzeczywiście jest aż nadto wyrywny, jeśli chodzi o oferowanie jej rozmaitych usług i atrakcji.

- No to umowa stoi - mruknął. - Ubezpieczenie jest zawarte na każdego kierowcę, więc nie będzie z tym problemu.

- Jesteś dla mnie bardzo dobry. I to doceniam, wiesz? Dzięki temu będę mogła zwiedzić wyspę - powiedziała.

A także, być może, odnaleźć Emmę. To teraz jej priorytet.

- Do usług - odrzekł, przyglądając się jej uważnie. - Powinienem był wcześniej o tym pomyśleć. Po co samochód ma rdzewieć w garażu? Ale na razie nie radziłbym jechać w góry. Drogi po burzy mogą być w opłakanym stanie.

Zrobiła niewinną minkę. Boże, przecież chyba nie czytał w jej myślach?

- A ty? Jeździłeś kiedyś po górach? - zapytała.

Przytaknął.

- Tam są straszne serpentyny. Miejscami masz po obu stronach strome skały. No i jeździ się prawie w pionie. Tylko dla orłów.

- Rozumiem.

Na samą myśl o tym zdrętwiała ze strachu. Generalnie nie przepadała za jazdą w terenie, a już na pewno, jeśli był najeżony przeszkodami. Ale od kilku dni nie miała wieści od Emmy i martwiła się o nią. Była niemal pewna, że siostrę musiało spotkać coś złego. I niezależnie od ostrzeżeń Cade'a musi wyruszyć na jej poszukiwanie.

- Ale zawsze dobrze jest mieć jakiś środek lokomocji. Jeszcze raz dziękuję.

- Możemy teraz zerknąć na samochód. - Cade spojrzał na zegarek. - Zaraz

muszę jechać, bo zachorował pracownik. Może weźmiemy na próbę to auto, żebyś się do niego przyzwyczaiła?

- Świetny pomysł.

Poszli do garażu, który był starą odnowioną stodołą, gdzie znalazło się miejsce dla kilku samochodów, w tym nowej ciężarówki.

Cade włożył swoją torbę do bagażnika eleganckiego srebrnego pojazdu i podał jej kluczyki.

- Wodzu, prowadź. A ja tylko będę ci mówił, jak tam dojechać. Agwe mieszka w wiosce jakieś dziesięć kilometrów stąd. To region turystyczny, ludzie przyjeżdżają tam głównie na konkursy w łowieniu ryb. Teraz niestety wioska została zalana.

- Myślisz, że dostaniemy się do jego domu?

- To całkiem możliwe. Most tam przetrwał, a on mieszka na wzniesieniu.

- Okej - powiedziała, zapalając silnik. - A co mu dolega?

- Wiadomość była dość ogólna: bóle mięśniowe, bóle głowy. Objawy grypopodobne.

- Jesteś lekarzem wszystkich swoich pracowników? - zapytała, skręcając na szosę prowadzącą na południe wyspy.

- Staram się im pomagać, jak potrafię. Moją pomoc medyczną mają w pakiecie. Dzięki temu oszczędzamy na ubezpieczeniach.

Samochód prowadził się świetnie, szybko przywykła do jego zwyczajów. Po kilku minutach byli w wiosce, gdzie mieszkał Agwe.

- Dzięki, że pan przyjechał - powitała ich żona pracownika. - Proszę wejść. Bardzo się o niego martwię. Powinien pojechać do szpitala, ale nie chce o tym słyszeć. Mówi, że nie chce być dla nikogo ciężarem.

- Nie jest żadnym ciężarem, Marisha. Czy jego stan się pogorszył?

- Chyba tak. Gorączkuje. Zaczęło się wczoraj. Myśleliśmy, że to zwykły wirus, ale jest coraz gorzej.

Na zaproszenie Marishy Rebecca weszła razem z Cade'em do sypialni Agwego.

Mężczyzna leżał, na czole perliły mu się krople potu.

- Cześć, Agwe - powitał go Cade. - Przykro mi słyszeć, że źle się czujesz.

- Moja żona nie powinna nikomu zawracać głowy. Nic mi nie będzie - wymamrotał chory.

- Nie wyglądasz za dobrze. Zbadam cię, jeśli pozwolisz.

Cade zmierzył mu temperaturę, ciśnienie i puls oraz osłuchiwał go stetoskopem.

- Masz gorączkę i przyspieszony rytm serca. Za to ciśnienie krwi bardzo niskie. I mówisz, że masz problemy z pęcherzem? Wygląda na to, że złapałeś jakąś infekcję. Łowiłeś ostatnio ryby? - zapytał Cade, dostrzegłszy zadraśnięcie na dłoni mężczyzny.

- Tak, kilka dni temu. Skaleczyłem się haczykiem. A czemu pan pyta? To takie ważne?

- Staram się odgadnąć przyczynę twojej choroby - odparł Cade. - Jest wiele

możliwych odpowiedzi, ale... Ostatnio mieliśmy w szpitalu kilka przypadków zespołu Weila, a ty masz bardzo podobne objawy. To infekcja bakteryjna. Można się zarazić na przykład przez kontakt ze skażoną wodą albo glebą. Takie zadrapanie to dla bakterii świetna okazja. Naprawdę uważam, że powinieneś znaleźć się w szpitalu, Agwe. Zrobią ci badania i podadzą dożylnie antybiotyki. Teraz dam ci kilka tabletek do połknięcia. To będzie początek kuracji.

Agwe wyglądał, jakby chciał zaprotestować, ale żona go uprzedziła.

- Doktor Byfield uważa, że twoje miejsce jest w szpitalu, więc tam pojedziesz.

Bez dyskusji.

- Zawieziesz nas? - Cade spojrzał na Rebecę. - Będzie szybciej niż karetką.

Zadzwoń i uprzedzę, że jedziemy.

- Jasne - zgodziła się. - Ułóż go z tyłu, żeby mu było wygodnie.

Wiedziała, że Cade obawia się uszkodzenia nerek. Choroba Weila może być bardzo niebezpieczna. Leczenie należy zacząć tak szybko, jak to tylko jest możliwe.

Dojechali bez problemu, bo szosy zostały już uprzątnięte. Coraz bardziej doceniała fakt, że Cade pożyczył jej samochód.

W szpitalu Cade przekazał pacjenta zespołowi ratowników. Żona została przy łóżku chorego.

- Sprowadzimy konsultanta nefrologicznego - zapewnił szef zespołu. - Wygląda na to, że twoja diagnoza jest poprawna. Natychmiast rozpoczniemy terapię dożylną. Może też potrzebować kortykosteroidów. Dzięki, że go przywiozłeś.

- Cieszę się, że mogłem pomóc.

Cade zostawił Agwego w dobrych rękach. Podszedł do Rebekki, która czekała obok.

- Ja muszę zostać, mam trochę papierkowej roboty - wyjaśnił. - To może potrwać, więc weź samochód. W końcu masz wakacje. Ja dam sobie radę. Na pewno ktoś później podrzuci mnie do domu.

- Mogę zaczekać - zaofiarowała się, ale Cade pokręcił głową.

- I tak poświęciłaś dużo swojego czasu, żeby nam pomóc, a ja zostanę tu trochę dłużej. Chcę zobaczyć, jak się miewa Agwe i pogadać z jego żoną. Ona się bardzo denerwuje, bo nie do końca rozumie, co się stało i co może go jeszcze spotkać. Pewnie będzie musiał spędzić w szpitalu nawet kilka tygodni. A ty jesteś na wakacjach. - Poglaskał ją dłonią po ramieniu w niespodziewanie czuły sposób. - Korzystaj z nich i się ciesz.

- Na pewno nie chcesz, żebym została?

Zmarszczyła brwi. Może jednak nie powinna go tak zostawiać? Nagle dotarło do niej, że Cade najwyraźniej już nie przejmuje się tym, że ona spędzi popołudnie z Williamem. To dziwne, ale nie czuła się z tym komfortowo. Czyżby z powodzeniem zniechęciła go do siebie? Dlaczego odczuwa to tak dojmująco? Poczowała ucisk w żołądku.

- Na pewno - odrzekł. - Może zobaczymy się wieczorem w domu na kolacji?

Skinęła głową, unikając wyraźnej deklaracji. Teraz, gdy dysponuje samocho-

dem, miała tylko jedno na myśli – jak najszybciej ruszyć na poszukiwanie siostry. Nie chciała wtajemniczać Cade'a w swoje plany. To jej problem i sama musi go rozwiązać. Może zresztą martwi się zupełnie niepotrzebnie, ale nie spocznie, dopóki nie przekona się, że z Emmą wszystko jest okej.

- Cześć, miło cię widzieć, Becky!

William pojawił się akurat w momencie, gdy pakowała rzeczy niezbędne do wyprawy w góry. Burza mogła dokonać tam spustoszeń, trudno przewidzieć, co może w takich warunkach zaskoczyć. Wzięła więc ubrania na zmianę, zapas jedzenia i wody. Napchała plecak do granic możliwości, nie zapominając o podstawowych lekach i środkach pierwszej pomocy zakupionych w pobliskiej aptece. Chciała być przygotowana również na ewentualną chorobę Emmy oraz na to, że siostra z powodu burzy tkwi gdzieś tam, odcięta od świata.

Bo to, że coś złego musiało się w tej odległej górskiej wiosce wydarzyć, było więcej niż pewne. Inaczej Emma już dawno by do niej zadzwoniła.

- Wyjeżdżasz? – zdziwił się William na widok spakowanego bagażu. – Myślałem, że zostaniesz kilka dni na plantacji.

- W zasadzie tak. – Uśmiechnęła się z nadzieją, że nie będzie dalej drążył. Nie spodziewała się, że najpierw odkryje stojący w kącie wypchany plecak. – Ale zebrałam do kupy parę najpotrzebniejszych drobiazgów na wypadek, gdyby zachciało mi się pozwiedzać. – Nie jest to tak do końca kłamstwo, prawda? – Jeszcze tylu rzeczy na wyspie nie widziałam. Na przykład wasze plaże...

Roześmiał się, łapiąc aluzję.

- No to jedźmy. Pogoda jest wymarzona. Trwa odpływ, mamy lekką ciepłą bryzę.

- Brzmi to idyllicznie. Zaniosę tylko ten plecak do mojego pokoju i możemy jechać.

Spędzili ze dwie godziny nad morzem, na przemian taplając się w wodzie i wyciągając na piasku, by złapać trochę słońca. William podszedł do jednej ze smukłych palm posadzonych wzdłuż linii brzegowej i zakołysał nią, by strząsnąć orzech kokosowy. Przyniósł go Rebecce, po czym otworzył skorupę za pomocą kamienia i podał jej, żeby mogła się napić.

- Mmm... to wspaniałe – zamruczała. – Jak mi tu dobrze!

- Mnie też. – Zamilkł na chwilę. – Emmie pewnie też by się podobało. Mówiła, że bardzo lubi spędzać czas na plaży. Wiesz może, jak długo zamierza jeszcze zostać w tej wiosce?

- Nie mam pojęcia. – Pokręciła głową. – Nie powiedziała mi.

- Jej koleżanki na pewno dałyby ci znać, gdyby stało się coś złego?

- Tak myślę.

Tyle że z koleżankami też nie było żadnego kontaktu. To bardzo ją niepokoiło. Możliwe, że tam, gdzie są, nie dociera sygnał telefonii komórkowej, jednak trudno się oprzeć myśli, że siostra mogła zachorować albo ulec jakiemuś wypadkowi.

William podrzucił Rebeccę do domu na plantacji i przeprosił, że musi tak szybko ją opuścić.

- Cade polecił, żebym zwizytował dojrzewalnie, które są w budowie - wyjaśnił.
- Mam sprawdzić, czy robotnicy działają zgodnie z planem. A potem jadę z matką odwiedzić ojca w szpitalu. Dostał jakiś nowy lek i mamy nadzieję, że szybciej zacznie zdrowieć.

- Życzę szczęścia - odparła Rebecca. - I prędkiego powrotu do zdrowia.

Gdy odjechał, błyskawicznie sprawdziła, czy nie powinna wziąć jeszcze czegoś na wyprawę w góry. Przebrała się w dżinsy i T-shirt, ściągnęła z internetu mapę i ją wydrukowała. Spieszyła się - chciała opuścić dom, zanim Cade wróci ze szpitala.

Nareszcie. Gotowa do drogi. Do zachodu słońca pozostały jeszcze ponad trzy godziny, a chyba jazda do wioski nie zajmie więcej niż godzinę? Zdąży więc nawet wrócić przez zmrokiem.

Jechała ostrożnie. Im wyżej, tym stan dróg bardziej upodobał się do tego, co prorokował Cade. Stawały się coraz bardziej strome i wyboiste. Skutki burzy sprawiły, że samochód coraz częściej na czymś podskakiwał, trząsał się, a ona zaczynała bać się o jego zawieszenie.

No ale w końcu to jest terenówka, więc bez przesady z tym strachem.

Przesuwający się za oknami krajobraz wzbudzał zachwyt i respekt zarazem. Widać było drzewa owocowe - mango i awokado - uprawiane na niewielkich farmach. Gdy droga wzniosła się wyżej, ich miejsce na zboczach zajęły wysokie kasztanowce i kolczaste drzewa chlebowe. Prawie wszystkie pnie oplecione były wijącą się ku słońcu winoroślą. Zgodnie z tym, co mówił Cade, tropikalna roślinność wyspy rozrasta się dzięki gorącemu i wilgotnemu klimatowi niezwykle bujnie.

Droga pięła się w górę i stawała coraz węższa i bardziej kręta. Coraz częściej też trafiały się na niej głębokie rozpadliny. Rebecca jechała teraz wolniej, przyglądając się skalistemu, pełnemu urwisk krajobrazowi.

Ostatnia burza sprawiła, że okolica była jeszcze mniej bezpieczna dla kierowców niż zazwyczaj. Drogę pokrywały skalne odłamki różnej wielkości, a nad nią piętrzyły się kamienne rumowiska, które wyglądały, jakby w każdej chwili mogły się oberwać i przysypać jezdnię.

Dojechała do szczególnie ostrego zakrętu i wstrzymała oddech. Na widok tego, co ujrzała przed sobą, straciła głowę. Był to rodzaj barykady składającej się z odłamów skały osadowej, która oderwała się od twardszego bazaltowego podłoża, a także masy kamieni, płataniny korzeni, gałęzi i gnijących liści.

Zatrzymała samochód i przez chwilę zastanawiała się, co dalej. Nie było mowy, by kontynuować jazdę, to zbyt duże ryzyko. A z drugiej strony, skoro dojechała już tak daleko, szkoda byłoby zawracać. Może dalej pójdzie pieszo?

Zostawiła auto w bezpiecznym miejscu, jak najdalej od szosy, na wypadek, gdyby trafił się ktoś tak lekkomyślny jak ona i próbował sforsować drogę na szczyt niewinnie skądinąd wyglądającej górki.

Trzeba stworzyć takiemu śmiałkowi możliwość zawrócenia. To dlatego Emma nie wróciła do domu. Po prostu nie miała jak.

Rebecca wyciągnęła rzeczy z bagażnika i ruszyła w drogę. Mimo wysokości panował okropny upał i pozbawiona samochodowej klimatyzacji Rebecca po pół godzinie zdążyła wypocić hektolitry płynów.

Przysiadła na płaskim kamieniu, by trochę odpocząć i rozejrzeć się. Między gałęziami górskiej palmy gatunku euterpa mignęły jej zielone pióra papugi w locie. Boże, dlaczego ona nie umie latać...

Jak daleko jeszcze do tej wioski? Jeśli wierzyć mapie, od plantacji dzieli ją niewiele ponad trzydzieści kilometrów. Olbrzymią część drogi chyba już pokonała, nie? A może coś źle obliczyła?

Słońce chyliło się ku zachodowi, a jakichkolwiek ludzkich siedzib ani widu, ani słyhu.

Może powinna powiadomić stosowne służby, że droga jest zablokowana? Wzięła do ręki telefon, ale nie miała sygnału. Szczerze mówiąc, nie spodziewała się go tu za bardzo, ale takie poczucie kompletnej izolacji jest jednak bardzo przygnębiające. Zwłaszcza gdy nadciąga zmrok. Co jej strzeliło do głowy, żeby przedsięwziąć taką ekspedycję?

Wstała i zaczęła iść dalej. Cade na pewno będzie miał dużo do powiedzenia, jak już uda się jej wrócić na plantację. Myślała o nim. Czowała jakąś wewnętrzną pustkę. Nie nawykła do aż takiego osamotnienia. Tęskniła i chciała by teraz być przy nim.

Westchnęła cicho. On już jakiś czas temu wrócił ze szpitala. Pewnie teraz zachodzi w głowę, gdzie ona się podziewa. I dlaczego nie pojawiła się na kolacji. Poczwała wyrzuty sumienia. On jest dla niej taki dobry, a ona go odtrąca.

Zatopiona w myślach usłyszała nagle, jak jakiś głos - nie wiadomo czyj ani skąd - woła ją po imieniu.

- Hej, Rebecca! Zatrzymaj się...

Słowa przecinały powietrze jak uderzenie batem.

Słyszając na tym pustkowiu skądinąd znajomy głęboki głos, zamarła w pół kroku.

Cade? Czy to możliwe? Nie, to raczej halucynacje. Przecież samym myśleniem nie da się nikogo sprowadzić, a już na pewno nie na takie górskie odludzie.

Powoli, jak w transie, odwróciła się i spojrzała na drogę. Gigantyczne paprocie i wysokie karaibskie sosny porastały całe wzgórze. A pomiędzy nimi...

Na widok samotnej ludzkiej sylwetki serce gwałtownie zabiło jej w piersi.

Potrząsnęła głową. Nie, to nie dzieje się naprawdę. To tylko wyobraźnia podsuwa jej widok stojącego na drodze wysokiego barczystego mężczyzny z przewieszoną przez ramię dużą lekarską torbą.

Ale nie. To on.

- Rebecca! Wielkie nieba, znalazłem cię.

Cade podbiegł i przez chwilę przyglądał się jej spode łba. Po czym postawił torbę na ziemi, podszedł i przesunął dłońmi po jej nagich ramionach.

- Wszystko okej? Nie wyglądasz za dobrze.

- Bo... jestem w szoku, że cię widzę - odparła zachrypniętym głosem. - Myślałam, że jestem tu całkiem sama. Skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać?

- Nietrudno było zgadnąć. - Roześmiał się cierpko. - Wyczułem, że chcesz ruszyć śladami Emmy. Podejrzywałem, że cały czas o niej myślisz, więc kiedy wróciłem do domu, a ciebie tam nie było, zadzwoniłem do Williama. Powiedział mi, że nie ma cię z nim, ale też, że zauważył, jak spakowałaś najpotrzebniejsze rzeczy i zaniosałaś do swojego pokoju. Sprawdziłem, że nie ma tam plecaka. Resztę sobie dośpiewałem. Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo się o ciebie bałem - dokończył i ściągnął wargi.

- Całkiem niepotrzebnie - zaprotestowała. - I nie musiałeś tu za mną jechać. To mój problem, nie twój. Nie chcę, żeby ktokolwiek zawracał sobie mną głowę.

Omiótł ją spojrzeniem, a jego oczy rozbłysły.

- Nie wyobrażasz sobie, jak się martwiłem, kiedy dotarło do mnie, że mogło ci przyjść do głowy coś takiego - powiedział, przyciągając ją do siebie. - Jak mógłbym cię zostawić? Nawet nie masz pojęcia, co ci groziło. Tak się martwiłem... To niebezpieczna droga, a ty nie jesteś dobrze obeznana z tym samochodem - ciągnął z głęboką irytacją.

Spojrzała w jego ciemne chmurne oczy, starając się zrozumieć jego emocje. Czuła się nimi przytłoczona. Fakt, przyjechał tu za nią, troszczył się o jej bezpieczeństwo, a jednocześnie był taki sztywny i spięty.

- Jesteś na mnie zły?

- Zły? Nie, skądże. Raczej zatroskany, może trochę niezadowolony. Robi się późno, a po ciemku tą drogą nie da się zjechać na dół. W każdej chwili mogą się pojawić nowe osuwiska i rozpadliny. - Wziął ją w ramiona. - Becky, tak się bałem, że coś ci się stanie, jakaś krzywda...

- Ale przecież wszystko jest w porządku.

- Nie, nic nie jest w porządku - mówił szorstkim tonem. - Nie powinnaś była zniknąć tak bez słowa. Mogło cię spotkać coś złego. - Przyciągnął ją i tulił coraz mocniej. - Wierz mi, nie chciałbym się tak o ciebie bać, ale nic nie mogę na to poradzić.

Pochylił głowę i pocałował Rebeccę w usta, miażdżąc jej wargi z pasją, jakby nigdy nie było mu dość. I jakby chciał się w ten sposób pozbyć nękających go demonów.

Jej piersi przyłgnęły do jego torsu, a jej uda dotknęły jego umięśnionych nóg. Powiew gorąca ogarnął jej ciało od głowy aż po koniuszki palców u stóp. Wiedziała, że powinna w jakiejś formie wyrazić swój protest, ale mimo to oddała mu pocałunek, zarzucając jednocześnie ręce na szyję i pieszcząc dłońmi włosy u nasady karku.

Tak bardzo się cieszyła jego obecnością, tym, że zadał sobie trud, by ją odnaleźć. Była wprawdzie przygotowana, że będzie się samotnie borykać z całą sytuacją, teraz jednak, z nim u boku, czuła w sobie taką siłę, że mogłaby góry przenosić. Udzielała jej się jego moc. Razem mogą zrobić dosłownie wszystko.

Jej ciało instynktownie lgnęło do niego. Co nią kierowało? Pragnienie? Tęsknota? Wydała z siebie cichy jęk. Chciała gładzić dłońmi całe jego ciało, ramiona, pierś. Chciała mu powiedzieć, jak bardzo go potrzebowała i jak bardzo cię cie-
szy, że jest teraz przy niej.

Jego wargi rozpoczęły wędrówkę od jej ust przez policzek aż po szyję, a dłonie błądziły po powierzchni jej kobiecych krągłości.

- Potrzebuję cię - wyszeptał z ustami przy jej policzku, a z jej ust wyrwało się ciche urywane westchnienie.

Boże, co ona wyprawia? Co sobie myśli? Nie powinna dalej w to brnąć. Zako-
chać się w facecie, który - jak tylko dowie się całej prawdy - odwróci się do niej
plecami?

- Nie mogę - szepnęła. - Nie powinnam była do tego dopuścić.

Oddech uwiązł mu w krtani. Patrzył na nią spojrzeniem pełnym namiętności.

- Nie rób mi tego - powiedział, a jego głos stał się nagle szorstki. - Całujesz
mnie, jakbyś pragnęła mnie co najmniej tak samo mocno jak ja ciebie, i nagle
zmieniasz zdanie i stopujesz wszystko. Tak nie wolno. Doprowadzisz mnie do
szału.

- Przepraszam. - Spojrzała na niego ze łzami w oczach. - Tak mi przykro.

Westchnął znudzony. Widać było, jak trudno mu dojść do siebie. Powoli odsunął
ją na długość ramienia.

- Okej - powiedział. - Wy tłumacz mi coś. Chcesz się zabawić, miło spędzić
czas. Bez zobowiązań. Ja w to wchodzę, możemy spróbować. W czym problem?

- Bo nam nie wyjdzie - odrzekła z ciężkim sercem. - Każdemu, tylko nie tobie
ze mną ani mnie z tobą. Po prostu się nie uda.

Patrzył na nią, usiłując odszyfrować, co to znaczy.

- Prędzej czy później będziesz musiała mi to wyjaśnić. Co się z tobą dzieje? Bo
teraz nie mam pojęcia, dlaczego jesteś taka rozdrażniona. Ale ja się dowiem,
Becky. Obiecuję ci.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Musimy dotrzeć do wioski przed zapadnięciem zmroku. - Głos Cade'a brzmiał ostro i stanowczo.

- Tak, tylko ja nie wiem, gdzie to jest.

Biorąc do ręki swój bagaż, Rebecca posłała mu szybkie spojrzenie. Jeszcze chwilę temu tulił ją w ramionach, a teraz jest taki odległy, jakby postanowił trzymać ją na dystans, przynajmniej w sensie fizycznym.

Spojrzał na zachodzące słońce i uniósł w górę swoją wielką torbę, która mieściła w sobie zestaw środków niesienia pierwszej pomocy każdemu pacjentowi, zanim zostanie on odtransportowany do szpitala.

- Widzę, że nie boisz się żadnego nieszczęścia - zauważyła.

- Wolę być przygotowany na wypadek każdego zagrożenia - przytaknął, kiwając głową.

- Ale, o ile pamiętam, mówiłeś, że martwię się niepotrzebnie, prawda?

- Nie, nieprawda. Tego nie mówiłem. Po prostu nie chciałem denerwować cię i utwierdzać w przekonaniu, że twoja siostra mogła wpaść w tarapaty. Nie było sensu niepokoić cię jeszcze bardziej, sama byłaś wystarczająco zmartwiona.

- Ale gdybym wiedziała, że ty też podejrzewasz, że jej coś grozi, przyjechałabym tu wcześniej.

Wzięła głęboki oddech, by się uspokoić. Była wściekła, że przez niego straciła tyle czasu. On przecież znał specyfikę tego kraju o wiele lepiej od niej.

- W czasie burzy i tak byś tu nie dotarła. Nawet helikopter pogotowia nie dałby rady. A poza tym, o ile dobrze pamiętam, oboje byliśmy zajęci. Najpierw ratowaniem dziecka, a potem odbieraniem porodu.

- No tak - musiała przyznać. Logika jego rozumowania była nie do podważenia.

Szli dalej, pokonując zakręt. Wąska asfaltowa droga prowadziła teraz na wschód.

- To już musi być niedaleko - powiedziała, nadrabiając nieco miną. - Tak to wygląda na mapie: droga skręca w kierunku wioski.

W oddali teren wznosił się coraz bardziej. Zbocza gór porośnięte były lasem tropikalnym i tylko gdzieniegdzie pomiędzy bujną roślinnością można było dostrzec niewielkie strumienie spływające kaskadami po niemal pionowych skałach w kierunku pobliskiego rozległego jeziora. To właśnie w tym rejonie w czasie ostatniej burzy masy wody runęły z gór i podtopiły teren.

Im dalej posuwali się, tym większe powodziowe spustoszenia ukazywały się ich oczom.

- Ta droga jest kompletnie nieprzejezdna - zauważył Cade.

Przed nimi z półmroku wyłoniły się zarysy pomalowanych na kolorowo drewnianych domków zbudowanych na polanie.

Grunt był tu miękki i błotnisty. Rebecca zatrzymała się na chwilę, by wyjąć z plecaka kalosze. Włożyła też lekką kurtkę. Zaczął wiać wiatr i coraz bardziej bała się tego, co mogą zastać na miejscu.

- Zaraz się wszystkiego dowiemy - powiedział Cade. - Wygląda na to, że osada została przez powódź odcięta od świata. Teraz woda się cofnęła, ale patrząc na te domy, można sobie wyobrazić, że musiało tu być nieciekawie.

Miał rację. Większość domów została prawdopodobnie podtopiona. Woda w szczytowym momencie musiała sięgać na wysokość kilkudziesięciu centymetrów. Widać to było po śladach, jakie zostawiła na drewnianej konstrukcji.

- Spodziewałabym się tu jakiegoś ruchu, krzątania, sprzątaniny po kataklizmie - odezwała się Rebecca. - A tu cisza. Taka wioska widmo.

- Rzeczywiście, wygląda to dziwnie - zgodził się Cade. - Może po prostu ludzie z domów położonych niżej przenieśli się do tych, którym woda tak nie zagrażała. Dalej jest kilka budynków użyteczności publicznej i domostw, które być może uniknęły poważnych szkód.

Skierowali się do jednego z takich komunalnych budynków. Drzwi nie były zamknięte na klucz i po chwili oboje znaleźli się w obszernym pomieszczeniu.

- To mi wygląda na szkołę - mruknęła Rebecca.

Biurka i krzesła zostały przesunięte pod ścianę, by pośrodku sali stworzyć przestrzeń, najwyraźniej z przeznaczeniem na szpital. Stało tam rzędem sześć łóżek. W trzech z nich leżały przykryte moskitierami dzieci, obok których siedzieli rodzice zatopieni w lekturze bądź w rozmowach prowadzonych ściszymi głosami.

Przybyszów powitali znużonymi spojrzeniami. Na dwóch dalszych łóżkach leżały pogrążone we śnie osoby dorosłe. Rebecca i Cade przedstawili się zgromadzonym.

- Jesteśmy gotowi do pomocy, jakiej tylko będziemy w stanie udzielić - oświadczył Cade.

Drzwi na końcu sali otworzyły się i Rebecca wstrzymała oddech, gdy we wchodzącej do pomieszczenia kobiecie rozpoznała Emmę. Pchała przed sobą szpitalny wózek, najwyraźniej starając się wykonywać swe obowiązki, ale Rebecce uderzyła niebywała zmiana w wyglądzie siostry. Po młodej, pełnej życia i energii kobiecie, która jeszcze niedawno śmiała się i żartowała w barze u Selwyna, nie został nawet ślad.

Zastąpiła ją osoba najwyraźniej chora, ledwie powłócząca nogami. Była bardzo blada, skonana, poruszająca się sztywno, jakby każdy krok sprawiał jej ból.

Emma spojrzała na przybyszów. Na jej twarzy pojawił się wyraz ulgi.

- Och, Becky - powiedziała zdławionym głosem. - Wiedziałam, że przyjedziesz. Jeśli ktokolwiek potrafiłby się tu do nas przedrzeć, to tylko ty.

Rebecca podeszła do siostry i uścisnęła ją.

- Co ty tu robisz? Nie wyglądasz zbyt dobrze. Dlaczego inne pielęgniarki się

tobą nie opiekują?

- Tu nikogo więcej nie ma. - Emma potrząsnęła głową. - Tylko ci ludzie, których tu widzisz. Jak przyszła powódź, musieliśmy ewakuować wszystkich do sąsiedniej wioski. Ja się zgłosiłam na ochotnika, że zostanę z chorymi. Mają po mnie wrócić, ale obawiam się, że między wioskami nie ma łączności. Wszystkie są odcięte od świata. Nikt po mnie nigdy nie przyjedzie.

Nagle opadła z sił i osunęła się na najbliższe krzesło.

- Od jak dawna źle się czujesz, Emma? - spytał Cade.

- Od kilku godzin. Zaczęło się tak jakoś nagle. Myślę, że to zmęczenie. Całą noc byłam na nogach, doglądałam pacjentów.

Cade zachmurzył się.

- Patrząc na ciebie, jestem skłonny sądzić, że to coś więcej niż zmęczenie. Masz te same objawy co ci ludzie?

- Nie. - Usiłowała pokręcić głową i nagle krzyknęła i skrzywiła się. Ból przeszył jej ciało. Dotknęła ręką szyi. - Dzieci mają kleszczowe zapalenie mózgu, ale już jest lepiej. Daję im antybiotyki. Powinny teraz dostać kolejną dawkę. Dorośli zresztą też.

Zacząła wstawać z krzesła, ale Cade delikatnie popchnął ją na miejsce.

- My się wszystkiemu przyjrzymy, a ty odpoczywaj. Zaraz zobaczymy, co ci jest.

- Ale to jest pora ich posiłku - zaprotestowała Emma, zaniepokojona. - Muszę im coś zorganizować, chociaż nie bardzo wiem co. Kończą się zapasy żywności.

Zadrzała. Oddychała płytko i z trudnością. Objęła się ramionami, jakby sama chciała się ogrzać.

- Sklep spożywczy został zalany i zrujnowany. Nie wiem, co z nami będzie. Nie ma prądu, wodociąg padł. Póki co posiłkujemy się wodą butelkowaną.

Zapadła w odrętwienie.

- Ja mam w plecaku kilka bidonów z wodą i trochę jedzenia - oznajmiła Rebecca. - Wysokobiałkowe batony, czekolada, orzeszki - wyliczała. - Wszystko bardzo pożywne i kaloryczne. Przynajmniej choć na chwilę wszyscy dostaną energetycznego kopa.

- A potem nadejdzie pomoc - wtrącił Cade.

- Jak to? - Rebecca spojrzała na niego zdziwiona.

- Mój przyjaciel pracuje w pogotowiu lotniczym - wyjaśnił. - Zadzwoń do niego jeszcze ze szpitala, po południu. Przyrzekł mi, że przy pierwszej nadarzającej się okazji zrobi rundę nad tym rejonem i sprawdzi, czy nikt nie został poszkodowany. Był bardzo zajęty i nie mógł obiecać, że robi to dziś, ale jutro już na pewno. Musimy umieścić coś na dachu, jakiś sygnał, że tu jest problem. Coś, co będzie widoczne z dala przy dziennym świetle.

- A więc przewidziałeś, że sytuacja może być trudna? - Rebecca patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. - Nigdy nie zostawiasz niczego losowi?

- Zgadza się.

- I nic mi nie powiedziałeś?

- Nie miałem gwarancji, że się do niego dodzwonię ani że on będzie w stanie pomóc. Gdybym zastał cię w domu, na pewno bym ci powiedział.

- W takim razie świetnie, że się dodzwoniłaś - odparła z uśmiechem. - A co umieścimy na dachu?

Cade myślał przez chwilę, po czym zwrócił się do Emmy:

- Czy tu są jakieś farby? Wszystkie domy są świeżo pomalowane, więc pewnie musiało coś zostać.

- Tak, są w magazynie.

- Świetnie. Wymaluję na dachu wielkie SOS. Mogę na słówko? - spytał, patrząc na Rebeccę. - Musimy się zastanowić, jak to wszystko zorganizować.

Kiwnęła głową.

- Siedź tu i odpoczywaj - polecił Emmie. - Ja za minutkę wrócę. Zobaczą, co da się zrobić, żeby ci było wygodniej. I nie martw się, my się wszystkim zajmemy. Pacjenci mają pozakładane karty?

- Tak, oczywiście. Strasznie boli mnie głowa - poskarżyła się, mrużąc oczy, jakby słabe wieczorne światło wpadające do pomieszczenia ją raziło. - Cieszę się, że tu jesteś, Becky.

- Ja też się cieszę. - Rebecca położyła siostrze rękę na ramieniu. - Odpocznij sobie, ja zaraz wrócę.

- Obawiam się, że twoja siostra jest poważnie chora - powiedział cicho Cade, gdy oboje z Becky oddalili się nieco. - Cokolwiek jej jest, na pewno natychmiast potrzebuje leczenia.

- Wiem, też się bardzo o nią boję. I o pozostałych chorych. Musimy działać szybko.

- Okej. Ja się zorientuję w kwestiach medycznych i sprawdzę, co mamy do jedzenia. A kiedy usłyszę helikopter, wybiegnę i zacznę machać rękami czy coś w tym rodzaju.

- Dzięki, Cade.

Położyła mu rękę na ramieniu. Miał to być gest serdecznej wdzięczności, ale z przykrością poczuła, że zesztyniał pod tym dotykiem. Spojrzała na niego, zaniepokojona tą reakcją. Cóż, musiała go głęboko zranić niedawnym odrzuceniem.

Gdy cofnęła rękę, Cade doszedł do siebie.

- Dziękuję, że o wszystkim zawiadomiłaś kolegę z pogotowia - powiedziała. Wzięła głęboki oddech, by się uspokoić. - Jak tu szłam, nie wiedziałam, co mnie może spotkać. Myślałam, że może dam radę sama stawić wszystkiemu czoło. Tym bardziej dzięki, że za mną pojechałeś.

- Nigdy nie zostawiłbym tego wszystkiego na twojej głowie. Domyślałem się, co tu się może dziać. - Zmarszczył brwi, przyglądając się uważnie jej niepewnej minie. - Ilekroć będziesz miała jakiś problem, ja zrobię wszystko, żeby ci pomóc. Pamiętaj, zawsze i we wszystkim możesz na mnie liczyć.

- Dziękuję - powiedział cicho.

Bardzo by chciała, by to mogła być prawda. Ciekawe, jak by zareagował na jej

zwierzenia?

Gdyby się dowiedział, że choroba zostawiła w jej ciele trwałe ślady i że z tego powodu nie może sobie pozwolić na to, by się w nim zakochać? Cade chce mieć dzieci, a ona nie będzie mogła mu ich dać. Nie można pozwolić, by zaangażował się w związek z nią, bo przecież prędzej czy później jej przekłeta niedoskonałość wyjdzie na jaw. I wtedy on pokaże jej plecy. Tak jak zrobił Drew.

Ona tego nie zniesie. A przelotny romans nie wchodzi w grę. Nie z nim. Za bardzo jej na nim zależy. Za bardzo go szanuje. Za mocno przeżyłaby koniec takiej niezobowiązującej przygody. A może w ogóle jest już za późno? Może ona już go kocha? Bo jeśli nie, to dlaczego to wszystko jest takie bolesne?

- W porządku - powiedział Cade, prostując się. - W takim razie do roboty. Ty idź do siostry. Weź moją torbę lekarską.

- Dzięki, już idę.

Podbiegła do Emmy.

- Gdzie ty śpisz? - zapytała ją. - Powinnaś położyć się do łóżka.

- Na zapleczu - wyjaśniła Emma, po czym z pomocą Rebekki wstała z krzesła.

- Boże, chyba naprawdę jestem chora. Strasznie wymiotowałam. Nie mogłam się powstrzymać.

- Nie martw się, pomogę ci.

Zaprowadziła siostrę do łazienki, gdzie ta znowu zwymiotowała, po czym pomogła jej dojść do łóżka.

- Teraz szybciotko cię zbadam.

Emma miała lodowate dłonie i stopy. Reszta ciała dosłownie płonęła. A więc wysoka gorączka. Nie wyglądało to dobrze. Rebecca miała już dość przerażające podejrzenia co do możliwej diagnozy, ale w czasie badania siostry starała się zachować kamienną twarz.

- Masz niskie ciśnienie - oświadczyła po wykonaniu badań - za to przyśpieszony puls i oddech. To musi być jakaś infekcja, zapewne bakteryjna. Wstrzyknę ci więc dożylnie antybiotyk. I podam deksametazon, który działa przeciwzapalnie.

Emma położyła głowę na poduszce.

- Nie owijaj w bawełnę, Becky - powiedziała, oddychając nierówno. - Przede mną nie musisz udawać, jestem pielęgniarką. Chyba wiem, co mi jest. Zapalenie opon mózgowych, prawda?

- Też to podejrzewam - odparła Rebecca, wzdychając cicho. - Pewność uzyskamy dopiero, jak w szpitalu zrobią ci badania, ale musimy już zacząć działać. Na szczęście Cade przywiózł mnóstwo leków. Najlepiej będzie, jak się trochę prześpisz. Dam ci coś na ból głowy.

- Dzięki, Becky. - Emma przymknęła oczy. - Jak dobrze, że tu jesteś...

Rebecca posiedziała przy siostrze, dopóki nie zyskała pewności, że zrobiła wszystko, co mogła. A potem poszła poszukać Cade'a.

Zastała go przy łóżku jednego z chorych dzieciaków, pięciolatka, z którym grał w karty obrazkowe. Chłopiec najwyraźniej już zdrowiał. Siedział na łóżku. Obaj zaśmiewali się, bo mały wygrywał, a Cade udawał zrozpaczonego z tego powo-

du.

- Zagramy później znowu - powiedział, wstając.

Mama chłopca zaczęła zbierać karty i szukać książeczki, którą mogłaby przeczytać synkowi.

- Okej. I ja znowu wygram! - odparł malec, uśmiechając się szeroko.

Cade podszedł do Rebekki. Po jego dobrym humorze nie pozostał nawet ślad.

- Jak ona się czuje? - zapytał.

- Zasnęła. Podłączyłam ją do kroplówki i podałam tlen, ale powinna jak najszybciej trafić do szpitala.

- Zapalenie opon? - zasugerował.

- Tak mi się wydaje.

Przy tej chorobie występuje obrzęk powłok chroniących mózg. To dlatego Emmę tak bolała głowa. Gdyby jej nie leczono, mogłaby dostać ataku padaczki. Poza tym istnieje groźba zakażenia krwi czyli posocznicy, która może spowodować w organizmie prawdziwe spustoszenie. Rebecca wolała o tym nawet nie myśleć.

- A jak inni pacjenci? - zapytała.

- Ogólnie nie najgorzej. To jest społeczność rolnicza. Dzieci są narażone na ukąszenia kleszczy przenoszonych na skórze hodowanych powszechnie kóz. Dostały doksyicyklinę, więc jakoś udaje im się pokonać infekcję. Dwóch pięcioletków już prawie wyzdrowiało. Trzyletnia dziewczynka ma jeszcze obrzęki na nogach, w miejscach ukąszenia. No i ma koszmary, jest rozdrażniona. To charakterystyczne dla tej choroby.

- Naprawdę? Nigdy nie zetknęłam się z tą odmianą choroby odkleszczowej.

- Wysoka gorączka, wysypka, na szczęście nieswędząca, bóle głowy i mięśni. A tych dwoje ma zapalenie płuc - dodał, patrząc na śpiących na łóżkach dorosłych. - Też dostają tlen i antybiotyki.

- A więc wszystko jest pod kontrolą. A co z jedzeniem? Udało ci się skomponować jakiś posiłek?

- Poniekąd - odparł, robiąc zabawną minę. - Chodź, pokażę ci, w jakich warunkach. - Wprowadził ją do małej kuchenki na tyłach budynku. - Musiałem oszczędzać prąd. No i nie podałem batonów białkowych. Pomyślałem, że powinniśmy je zachować na czarną godzinę. A więc pewnie na jutro.

Rozejrzała się. Kuchenka miała wszelkie walory użytkowe: głęboki zlew, lodówkę, piecyk, palniki. Z tym że nic nie działało.

- Pozostaje mieć nadzieję, że twój kolega niebawem nadciągnie z odsieczą. Nie wytrzymamy tu zbyt długo - powiedziała drżącym głosem, mając na myśli głównie Emmę.

- Wierzę, że poradzimy sobie w każdej sytuacji - odparł, kładąc jej rękę na ramieniu. - Zobacz, jaki z nas wspaniały duet. Ty przewidująco zadbałaś o aprowizację, ja o stronę medyczną.

- Fakt. - Powoli odzyskiwała nadzieję.

Z nim naprawdę można góry przenosić!

- Może pomogę ci wymalować napis SOS? Albo nawet kilka?

- Nie, sam to zrobię błyskawicznie. Ale najpierw dam ci coś do jedzenia. Podejrzewam, że od śniadania nie miałaś nic w ustach.

- Nnoo... niby tak. - Była zbyt zestresowana, by pomyśleć o jedzeniu. - Ale nie jestem głodna, dzięki. Posiedzę przy Emmie.

- Okej, przyniosę ci tam coś. Zobaczymy, czy się skusisz na zimne resztki ryżu z groszkiem konserwowym.

- Jasne, w końcu jestem smakoszem. - Roześmiała się nerwowo, by ukryć lęk.

- No widzisz, wiedziałem, że razem jakoś przez to przejdziemy - odrzekł z uśmiechem i spojrzał w jej wilgotne od powstrzymywanych łez oczy. - Coś mi się wydaje, że potrzebujesz teraz przytulasa. Mogę?

Bez słów skinęła głową, a on przyciągnął ją do siebie, uścisnął i delikatnie pocałował w czoło.

- Zrobimy dla niej, dla nich - poprawił się - wszystko, co w naszej mocy. Jesteś świetną lekarką i wspaniałym człowiekiem, także na trudne czasy. Nie rozumiem, co ten twój były sobie myślał. Wypuścić z rąk taki skarb? To musiało zniszczyć twoje zaufanie do mężczyzn.

- To nie była do końca jego wina - odparła chropawym głosem. - Po prostu nam się nie ułożyło. Drew to przyzwoity facet, ale zaszły pewne okoliczności... Zachorowałam, miałam zapalenie wyrostka, potem wywiązały się komplikacje. Wylądowałam na oiomie. - Westchnęła. - On źle znosił moje chorowanie. A zresztą pewnie do siebie nie pasowaliśmy. On jest porywczy i niecierpliwy, ja mam więcej luzu. I tak pewnie byśmy się w końcu rozstali.

- To przykre. Odnoszę wrażenie, że ci na nim zależało i bardzo przeżyłaś to rozstanie. Szkoda by było, gdyby ta sprawa wpłynęła na twoje ogólne nastawienie do spraw męsko-damskich.

- Masz rację. Chyba już pójdę do Emmy - powiedziała. Pora skończyć rozmowę o rzeczach, które dawno powinny ulec zapomnieniu.

- Dobra, przyniosę ci później coś do zjedzenia, a potem namaluję to SOS. O innych pacjentów się nie martw, będę miał ich na oku.

- Świetnie.

Spędziła całą noc przy łóżku Emmy, a rano stwierdziła, że stan siostry raczej się nie pogorszył. Dość dobrze spała. Dokuczał jej wprawdzie ból głowy, ale przestała wymiotować. Zainteresowała się nawet zdrowiem swoich pacjentów.

- Pójdę sprawdzić - powiedziała Rebecca. - Zaraz wracam.

Pierwszą rzeczą, jaką dostrzegła, wchodząc do sali, był Cade mierzący na prośbę trzyletniej dziewczynki ciśnienie jej misiowi.

- Sądzę, że Teddy czuje się dziś znacznie lepiej - mówił Cade. - Może miałby ochotę na ciasteczko?

- Poczęstuję go. Mogę? - zapytało dziecko.

- Dobrze, ale chyba musisz mu pokazać, jak je jeść. Pomalutku, pamiętasz?

Dziewczynka przysunęła ciasteczko do buzi misia, po czym sama ugryzła kawałek. Miodowo-owsiany herbatnik zasmakował jej i zaczęła jeść. Cade

uśmiechnął się, a Rebecca poczuła dławienie w gardle.

Jaki wspaniały byłby z niego ojciec!

- Nie miała apetytu - wyjaśnił, podchodząc do Rebekki. - Ale chyba już będzie lepiej.

- Bogu dzięki. Widziałam, jak świetnie sobie z nią poradziłeś.

Chłopcy zajadali się proteinowymi batonami i rozwiązywali proste krzyżówki narysowane na papierze.

- Robiłem takie dla Williama, jak był mały - powiedział Cade. - To ich trochę zajmie, bo już zaczęli się nudzić.

- Zdumiewasz mnie - mruknęła, częstując się orzeszkiem i batonem.

Cade wyłożył wszystkie zapasy na stół, tworząc coś w rodzaju bufetu. Widać było, że dzieci bardzo go lubią.

- Jak się czuje Emma? - zapytał.

- W zasadzie bez zmian. Nadal jest trochę zdezorientowana, ale wygląda na to, że antybiotyki zaczęły działać.

- Dobre i to. Musimy się przygotować do ewakuacji, popakować. Helikopter, jak tylko przyleci, powinien móc błyskawicznie zabrać wszystko i wszystkich.

- Też tak myślę. Zaczęłam już organizować sprawy związane z leczeniem. Każdy dorosły musi mieć przy sobie kartę pacjenta, swoje leki i wyposażenie, jak na przykład kroplówkę. Jeśli będzie za mało miejsca, w pierwszej kolejności muszą polecieć najciężej chorzy: moja siostra, facet z zapaleniem płuc i ta mała.

Pokiwał głową.

- Ekipa ratownicza powinna przybyć rano. Wyznaczyłem im w miarę bezpieczne lądowisko. Będziemy musieli przenieść tam ludzi na noszach.

Sieć komórkowa wciąż nie działała, ale kilka godzin później usłyszeli najpierw podnoszące na duchu brzęczenie drona, a wkrótce potem wylądował śmigłowiec.

Pobiegli przywitać się z załogą.

- Ilu ludzi do zabrania? - spytał przyjaciel Cade'a.

- Trójka dzieci, troje dorosłych chorych i czworo rodziców. W sumie dziesięć osób plus Rebecca, która powinna być przy siostrze. Dacie radę zabrać tylu?

- Postaramy się. A co z tobą?

- Zejdę na dół po samochód. Spotkamy się w szpitalu. Po drugie auto kogoś wyślę - uspokoił Rebeccę.

- Okej, dzięki.

Cieszyła się, że Emma otrzyma pomoc, a z drugiej strony niepokoiła, że Cade będzie wracał samotnie samochodem. A jeśli na drodze powstały nowe osuwiska?

- Dam sobie radę. Gdybym nie pojawił się w szpitalu za powiedzmy dwie godziny, wyślij Williama na czele jakiejś ekipy poszukiwaczy. - Uśmiechnął się krzywo.

- Żebyś wiedział. I nie żartuj sobie, bo ja się naprawdę boję. Te odłamki skalne na szosie wyglądały okropnie.

- Idź już. Nie trać czasu - polecił jej stanowczym tonem.

W samolocie usiadła obok Emmy, której stan był coraz bardziej zatrważający. Siostra była bardzo senna i zaczynała majaczyć. Czyżby zbliżał się atak padaczkowy? Jeśli tak, stan chorej mógłby się dramatycznie pogorszyć.

Pilot podał tę wiadomość przez radio, więc na szpitalnym lądowisku czekał już zespół ratowników. Emma znalazła się natychmiast pod opieką lekarzy, którzy robili wszystko, by uratować jej życie. Rebecce pozostało tylko czekać...

Lekarzem prowadzącym był James, kolega Cade'a. Po godzinie zawiadomił ją, że chorej podano nowe leki i zrobiono badania, dzięki którym można będzie orzec, jakie antybiotyki należy zastosować, by powstrzymać postęp choroby.

- Idź do gabinetu Cade'a i zrób sobie kawę. Nie ma sensu, żebyś tu sterczała beczynnym. Jak on wróci, powiem mu, gdzie cię szukać - zakończył.

- Okej.

Zanim włączyła ekspres, zadzwoniła do Williama, by mu przekazać najnowsze wieści. Bardzo się zmartwił zarówno stanem Emmy, jak i faktem, że Cade jeszcze nie dotarł do szpitala.

Była bardzo zmęczona. Całą noc nie zmrużyła oka. Teraz położyła głowę na oparciu kanapy, zaraz jednak rozległo się pukanie do drzwi.

- Becky! Przyjechałem najszybciej, jak mogłem. Pewnie odchodzisz od zmysłów ze strachu - powitał ją William.

- Tak. Nie ma żadnych dobrych wiadomości. Dopiero po kilku dniach dowiemy się, czy ona z tego wyjdzie.

Usiadł obok i otoczył ją ramieniem.

- Tak mi przykro. Widziałem ją. Jest taka... blada i nieruchoma. Nie mogę uwierzyć, że akurat ją to spotkało.

- To musi być dla ciebie trudne, prawda? Wiem, że ją lubisz. A do tego masz chorego ojca. On też jest w tym szpitalu?

- Tak. Do niego również zajrzałem. Z nim na szczęście jest coraz lepiej. Reaguje na nową terapię zgodnie z oczekiwaniami. Ale Emma wyzdrowieje, zobaczysz, Becky. Jest młoda i silna. No i miała szczęście, że z Cade'em do niej pojechaliście. Będzie dobrze.

- Też tak myślę - odparła i lzy pociekły jej po policzkach.

William przyciągnął ją do siebie. Oparła głowę na jego ramieniu.

I wtedy wszedł Cade. Jego zachowanie świadczyło o tym, że zupełnie opacznie zrozumiał to, co zobaczył.

- William - powiedział, starając się opanować. - Widzę, że przyjechałeś tu, jak tylko usłyszałeś, co się stało?

- Tak, Becky do mnie zadzwoniła. Bardzo się zmartwiłem.

- Nie wątpię. Jesteście z sobą tak blisko...

- O ciebie też się martwiłem, ale na szczęście wróciłeś bezpiecznie. Cieszę się - powiedziała Rebecca. Odsunęła się od Williama i siedziała sztywno wyprostowana.

- A jechałem tu na złamanie karku, bo nie chciałem, żebyś w takiej chwili była

sama. Ale widzę, że niepotrzebnie się obawiałem. - Omiótł ich wzrokiem, zamilkł i podszedł do ekspresu do kawy.

- Becky martwi się o Emmę. Chciałem ją wesprzeć - tłumaczył się William. - Widziałem też Emmę, jest naprawdę ciężko chora.

- Tak, James mi mówił, że u niej bez zmian - potwierdził Cade. - Pozostaje czekać. Ale może to dobra wiadomość. - Spojrzał na Rebeccę. - Przynajmniej jest stabilna.

- Być może...

Patrzyła na Cade'a. Był bardzo spięty. Najwyraźniej nie wierzył, że ona i jego kuzyn są tylko dobrymi przyjaciółmi. Ale teraz nie pora na dyskusje. Tylko czy potem będzie chciał jej wysłuchać?

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Dziś wygląda trochę lepiej, nie sądzisz? - spytała Rebecca, a Cade potwierdził ruchem głowy.

Opuścili izolatkę, w której leżała jej siostra, i szli na parking. Minął tydzień, odkąd Emmę przyjęto do szpitala. Większość czasu przeleżała na oiomie, podłączona do aparatury, na dużych dawkach środków uspokajających.

- Antybiotyki chyba zadziałały. James będzie mógł wkrótce zmniejszyć jej dawkę uśmierzaczy, bo stan zapalny okolic mózgu wyraźnie ustępuje - odparł Cade.

W laboratorium zidentyfikowano bakterię odpowiedzialną za zakażenie i można było zastosować bardziej skuteczną antybiotykoterapię.

- William się ucieszy - powiedziała Becky. - Odwiedza ją, kiedy tylko może. Mówi, że i tak przychodzi do ojca.

- Wuj też ma się lepiej - przyznał Cade.

- Chętnie przekażę mu dobre wieści, ale nie mogę się do niego dodzwonić. Podobno cały ten tydzień będzie bardzo zajęty, bo kazałeś mu nadzorować prace budowlane na plantacji.

- To prawda. Chcę, żeby cieśle trzymali się planu.

- Czy naprawdę trzeba mieć ich cały czas na oku? William mówi, że to świetni fachowcy. - Spojrzała na Cade'a badawczo. - Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że wymyślasz mi zadania, żeby utrudnić kontakt ze mną.

- Masz mi to za złe? Przecież wiesz, co do ciebie czuję, Becky. Wiesz, jak mi było ciężko, kiedy zobaczyłem, że on cię obejmuje?

- Przykro mi, że tak to odebrałeś. William to mój przyjaciel, i tyle. Chciał mnie pocieszyć.

- Doprawdy? Szczerze wątpię, czy William też tak to ocenia. Bóg mi świadkiem, chcę, żeby był szczęśliwy, ale nie mogę znieść, że jesteście tak blisko.

- Ale między nami nic się nie dzieje!

Zerknął na nią z powątpiewaniem.

- Może jeszcze nie wyznał ci swoich uczuć, ale widzę, jak mu na tobie zależy. Widziałem to już na statku, a potem jeszcze wiele razy. Sposób, w jaki rozmawiacie przez telefon...

- Ta dyskusja prowadzi donikąd - weszła mu w słowo. - Już ci mówiłam, przyjaźnimy się. Lubię go, bo mnie rozśmiesza i jest dla mnie dobry.

- Nie wierzę w platoniczne związki między młodą kobietą a mężczyzną.

- Ach tak? No to masz problem. I sam sobie z nim radź.

- Okej, mogę uwierzyć, że nie widzisz, co dzieje się z Williamem, ale wiem, że to ja mam rację. On coś do ciebie czuje, a sądzę też, że nie bez wzajemności.

Syknęła wściekle, a on rzucił jej szybkie spojrzenie.

- Słuchaj, proponuję zawieszenie broni. Tyle przeszłaś w ciągu ostatnich tygodni, a teraz jeszcze masz chorą siostrę. Powinnaś się zrelaksować, posmakować w końcu tych karaibskich wakacji. Może pójdziemy razem na jakiś lunch?

- Chętnie - odpowiedziała. - A rozejm to dla mnie strzał w dziesiątkę.

Zabrał ją do cudownej restauracji kilka kilometrów dalej, na wybrzeżu. Mieściła się w budynku z jasnego kamienia, na zboczu zalesionego wzgórza. Z rozległych tarasów rozpościerał się widok na skalisty morski brzeg.

Kelner zaprowadził ich do wnętrza udekorowanej drewnianymi donicami, w których płomiennymi barwami kwitły krzewy hibiskusa. Rebecca zajęła miejsce i zaczęła się napawać widokami morza mieniącego się wszystkimi odcieniami błękitu. W zatoczce cumowały jachty, a w głębi lądu widać było pomalowane na biało domy z dachami w kolorze ochry.

- Rozmawiałam z właścicielem na temat remontu naszej chaty - powiedziała, gdy kelner przyniósł pierwsze zamówienie: koszyk świeżego pieczywa i przegrzebki w sosie z białego wina. - Mówił, że nie może znaleźć nikogo, kto by to zrobił, bo po tym kataklizmie wszyscy fachowcy są zajęci. Mam nadzieję, że nie będzie ci przeszkadzać, jeśli jeszcze przez kilka dni pomieszkam na plantacji?

- Oczywiście. Możesz mieszkać, jak długo chcesz. Lubię mieć cię w pobliżu.

- To dobrze. - Westchnęła z ulgą i oparła się wygodnie. - Nie chciałabym, żebyś myślał, że dla mnie to takie oczywiste.

- Wyluzuj trochę, w końcu jesteś na wakacjach. A dotychczas nie miałaś za bardzo okazji się nimi nacieszyć. Chętnie ci to ułatwię, mogę cię zabrać tu i tam, pokazać wyspę.

- Byłoby cudownie - mruknęła - ale najpierw muszę wiedzieć, że Emma naprawdę wychodzi na prostą. Wtedy chętnie się z tobą gdzieś wybiorę.

- Trzymam cię za słowo - powiedział, krzywiąc usta w uśmiechu.

Po przystawkach wniesiono danie główne: duszoną jagnięcinę, risotto i pieczone warzywa. Do tego merlot i sos pieczeniowy z szalotkami.

- Wspaniałe jedzenie - pochwaliła. - Byłeś tu już kiedyś?

- Kilka razy. Zapraszam tu dostawców i ogólnie ludzi, którzy pomagają mi utrzymać plantację.

Poczuła ulgę, że nie wspomniał o żadnej kobiecie. Sama myśl, że to mogłoby być możliwe, sprawiała jej przykrość.

Porozmawiali o jedzeniu, potem o plantacji i jej pracownikach. Cade powiedział, że Agwe ma się lepiej. Choroba nie uszkodziła w sposób trwały jego nerki. A i ręka Thomasa goi się dobrze.

- Cieszę się. Mają szczęście. Pracodawca, który poważnie traktuje zdrowie swoich ludzi, to rzadkość.

Na deser zjedli owoce, a ukoronowaniem posiłku stała się aromatyczna kolumbijska kawa oraz wafelki z gorzkiej czekolady.

- Najadłam się - oświadczyła, głaszcząc się po brzuchu. - Wieki całe nie jadłam czegoś równie wspaniałego. To była prawdziwa ucztą.

Potem spacerowali po ogrodzie botanicznym na wzgórzu. Rosły tam wspaniale

owocujące morele i awokado, a okazałe kwiaty strelicji i helikonii przyciągały poszukujące nektaru maleńkie kolibry.

Przystanęli na drewnianym mostku nad stawem i zobaczyli stado różowych flamingów. Jedna z samic karmiła młode, które zresztą były kompletnie białe.

- Przepiękne! - zawołała cicho. - Te pisklątka są cudowne.

- Ty też - powiedział, przytulając ją do siebie i cmokając w policzek. - To wspaniałe widzieć cię szczęśliwą.

Spojrzała na niego zaciekawiona i zdziwiona delikatnością tego pocałunku. Czy będzie powtórka?

Chciałaby więcej. Chciałaby, żeby trzymał ją w ramionach, by jego dłonie błędziły po jej ciele, by ją przytulały do niego.

Nie zawiódł jej oczekiwań i już po chwili mogła całować go gorąco, gładząc naprężone mięśnie jego ramion i karku.

- Byłeś dla mnie taki dobry - szeptała. - Przyjąłeś pod swój dach, opiekowałeś się... W życiu nie spotkałam nikogo tak wielkodusznego i troskliwego.

- Świata poza tobą nie widzę - odparł. - Wiesz... chyba się w tobie zakochałem. Nigdy do nikogo nie czułem nic podobnego. Od kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy, bez przerwy cię pragnę. - Jego głos stał się ochryply. - Gdybyś знаła moje uczucia, na pewno byś mi zaufała. Wiedz, że nigdy cię nie skrzywdzę.

To właśnie ponad wszystko chciała usłyszeć. Uniosła dłoń i delikatnie poklepała go po policzku, po czym przesunęła palcami po jego szczęce.

- Chciałabym mieć co do tego pewność - powiedziała cicho. - Chciałabym móc sprawić, żeby wszystko było po mojej myśli. Ale nie mogę. Co było, nie wróci.

Zachmurzył się i nagle zdała sobie sprawę, że mogła zostać źle zrozumiana.

- Masz na myśli to, że nie chcesz pozbawiać się możliwości wyboru? No cóż, jeśli masz być ze mną tylko z wdzięczności, że się tobą zaopiekowałem...

- To nie tak - przerwała mu, ale nie dane jej było wyjaśnić mu, o co jej chodzi, bo właśnie usłyszeli czyjeś kroki i odgłosy rozmów. Nie byli jedynymi amatorami zwiedzania ogrodów botanicznych.

Bez słowa ruszyli więc w stronę parkingu.

Kiedy znów byli sami, Cade wziął głęboki oddech i powiedział:

- Nie mogę nic poradzić na to, co to do ciebie czuję, Rebecca. Kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy, wiedziałem, że już po mnie.

- Ale...

Położył palec na jej ustach.

- Za kilka dni na plaży jest wielkie barbecue. Może byś poszła? Ze mną?

- Brzmi to nieźle. - Uśmiechnęła się z rezerwą.

Jemu doprawdy nie da się nic zarzucić. A ona chce z nim być. Jej wysiłki, aby trzymać go na dystans, ostatecznie nie zdały się na nic. Bo i tak się w nim zakochała. Naprawdę. Musi się sama przed sobą do tego przyznać. On ma wszystko, czego kobieta u mężczyzny może zapragnąć.

Ale jak może z nim być, jak może związać się na stałe, wiedząc, że nie będzie w stanie zapewnić mu tego, czego on tak bardzo pragnie? Rodziny. To nie fair

z jej strony, że pozwoliła sprawom zajść tak daleko. A z drugiej strony nie zniosłaby życia bez Cade'a.

Musi znaleźć jakiś sposób na rozwikłanie tej sytuacji. Jakiś patent na przyszłość, aby mimo wszystko móc z nim być. Czy to w ogóle jest możliwe?

W ciągu kilku dni Emma odzyskała siły na tyle, że mogła już samodzielnie siedzieć na łóżku. A wkrótce potem mogła już nawet pogadać z kimś, nie męcząc się zanadto.

- Wyglądasz dużo lepiej - powiedziała jej Rebecca. - Cieszę się, że zdrowiejesz.

- Tylko tobie to zawdzięczam - odparła Emma, opierając się o wysoko spiętrzone poduszki.

- Hm... chyba nie tylko - wymamrotała Rebecca, spoglądając wymownie na stolik przy łóżku pełen kwiatów i kartek z życzeniami powrotu do zdrowia.

Jedną, jak zauważyła, była od Williama. Z przepięknego wytłaczanego papieru, pisana najwyraźniej z uczuciem.

Przyjrzała się Emmie uważniej. Siostra miała przepiękne kasztanowe włosy, które odzyskały dawny blask. Również spojrzenie jej szaroniebieskich oczu pojaśniało.

- Czy te iskierki w oczach zawdzięczamy faktowi, że codziennie odwiedza cię tu pewien młody przystojniak?

- Zauważyłaś? - Emma zarumieniła się. - To prawda, William wpada, kiedy tylko może. Przynosi mi owoce i kwiaty, robi wszystko, żeby mnie rozweselić. Przyniósł mi te piękne róże, a w nich schowany bilecik z zapewnieniem, że ciągle o mnie myśli.

- Słuchaj, no to cudownie! A ty?

- Naprawdę go lubię, Becky. - Czerwień policzka Emmy się pogłębiła. - Ma świetne poczucie humoru. I wiele nas łączy. Chyba coś między nami zaiskrzyło od pierwszego wejrzenia. - Spojrzała na siostrę badawczo. - Chyba tak jak między tobą a jego kuzynem, nie? Rozpoznaję pewne sygnały i jestem pewna, że jesteś zakochana w Cadzie.

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- Widziałam, jak na jego patrzysz, w moim domu, w barze Selwyna. Śmiałaś się i żartowałaś z Williamem, ale to na Cade'a zerkałaś, kiedy ci się wydawało, że nikt tego nie dostrzega. Zresztą zauważam to i teraz, jak mnie tu odwiedzasz. Ale cóż, faceci nie widzą wiele poza czubkiem własnego nosa - dokończyła, wykrzywiając usta.

Rebecca westchnęła. To prawda. Cade na przykład w ogóle jej nie słuchał, gdy zapewniała, że z Williamem łączy ją tylko przyjaźń.

- Emma, nie wiem, co mam robić. To prawda, kocham Cade'a. I wiem, że on mnie też. Ale to nie ma przyszłości, prawda? Jak mam się z nim wiązać, skoro nie mogę mieć dzieci? On chce założyć rodzinę, nie mam prawa mu tego unieвозмоwić. Nie wiem, co robić.

- Jedną rzecz możesz zrobić na pewno: leczyć się. - Emma wzięła siostrę za rękę. - Niech ci zrobią zabieg, udrożnią jajowody.

- Ale nasi lekarze byli raczej temu przeciwni. Twierdzili, że to rzadko się udaje. - Rebecca posmutniała. - Radzili mi w dalszej przyszłości poddać się in vitro. Na szczęście jajniki podobno nie ucierpiały w trakcie tej choroby. Ale przecież in vitro to też nie jest prosta sprawa. Słyszy się o ludziach, którzy próbują raz po raz bez rezultatów.

- Nie wolno się tak nastawiać, Becky. Myśl pozytywnie. Zawsze tak myślałaś, dopóki nie spotkało cię tamto... Jeśli nie odpowiada ci in vitro, zapisz się na wizytę w klinice. Porozmawiaj z jakimś dobrym specjalistą o chirurgicznej metodzie usunięcia zbliznowaceń. Na co czekać? Dopóki się nie dowiesz, co można zrobić, będziesz żyć w zawieszeniu.

- Pewnie masz rację. Pomyślę o tym. Ale to taka poważna akcja. - Rebecca przymknęła na chwilę oczy. - Jak się nie uda, chyba poczuję do siebie wstręt.

- Nie myśl o tym. Po prostu zrób pierwszy krok. A jak już się czegoś dowiesz, zacznij podejmować właściwe decyzje co do przyszłości. Bo póki co, jesteś jak w otchłani, w próżni. - Emma ścisnęła rękę siostry. - Nie trać więcej czasu, Becky. I podaj mi torebkę, jest w nocnej szafce. Wiedziałam, że przyjdiesz, więc zasięgnęłam informacji. Na jednej z wysp obok jest klinika w sam raz dla ciebie. Sprawdziłam. To fachowi wykwalifikowani chirurdzy, mają świetne opinie.

Emma wydobyła z torebki wizytówkę i podała ją siostrze.

- Masz. Zadzwoń tam - poradziła. - Najlepiej jeszcze dziś. Powiedzieli mi, że jak zapiszesz się do nich prywatnie, przyjmą cię bardzo szybko. I - dodała ponuro - porozmawiaj z Cade'em, na miłość boską.

Rebecca pokręciła głową.

- Teraz nie mogę. Umówię się, jak tylko wyjdiesz ze szpitala. Bo co, jak będą mnie chcieli od razu położyć? Będę się o ciebie martwić. A za parę tygodni będziesz już na nogach i wtedy...

- Nie, nie... Co się odwlecze, to uciecze. Chcę, żebyś to zrobiła teraz. Ja już czuję się lepiej, więc przy odrobinie szczęścia wyjdziemy jednocześnie ze szpitala, każda ze swojego. I spędzimy razem trochę czasu w mojej chatce. Taki zabieg robi się w trybie chirurgii jednego dnia. Musisz spędzić w klinice tylko jedną noc. Rebecca, mówię ci, zadzwoń i umów się. - Uśmiechnęła się. - William po pracy będzie dotrzymywał mi towarzystwa. Nie musisz się o mnie martwić.

- Nie ma mowy. Nie teraz. Muszę być przy tobie.

- E tam, widzę, że szukasz wymówek - powiedziała Emma, ściągając gniewnie brwi. - Wobec tego ja zadzwonię. - Zaczęła grzebać w torebce w poszukiwaniu telefonu.

- Nie, nie rób tego.

Rebecca jeszcze raz spojrzała na wizytówkę. Klinika mieściła się na sąsiedniej wyspie. Rzut beretem, krótki kurs promem. Chyba może zadzwonić, prawda? Przynajmniej może jej powiedzieć, czy w ogóle jest nadzieja...

- Okej - westchnęła. - Zadzwoń tam.

- Świetnie. Daj na głośnomówiący, chcę posłuchać.

Rebecca wybrała numer z wizytówki.

- Ma pani szczęście - usłyszała od recepcjonistki, gdy przedstawiła się i wyjaśniła swoją sprawę. - Dwie pacjentki odwołały wizyty, jedna ma kryzys rodzinny, druga zdecydowała się na niekonwencjonalną terapię. Doktor Solomon ma trochę luzu. Mogę zapisać panią na jutro, jeśli pani chce. To będzie wizyta wstępna, dalsze szczegóły zostaną przekazane potem.

Rebecca potrząsnęła głową. Tak szybko?

- Nie spodziewałam się... - dukała. - Nie jestem pewna...

- Jest pewna - wtrąciła się Emma energicznie. - Proszę ją zapisać.

- Słucham?

- Przepraszam, to moja siostra. Zawsze musi wtrącić swoje trzy grosze - tłumaczyła Rebecca i odetchnęła głęboko. - A więc okej. Dziękuję pani. Przyjadę jutro. Raz kozie śmierć.

Zakończywszy rozmowę, przez chwilę siedziała w milczeniu, przytłoczona wagą swej decyzji. Teraz musi się zająć stroną praktyczną. Prom odchodzi za jakiś czas. Zdaży wrzucić do plecaka kilka najpotrzebniejszych rzeczy i w drogę! Po przyjeździe na wysepkę poszuka pokoju w hotelu blisko kliniki.

- Przyjechałam na Karaiby, żeby się z tobą zobaczyć i zapytać o radę - oznajmiła, patrząc na Emmę. - Ty jedna mogłaś mi powiedzieć, co powinnam robić. W końcu jesteś moją najlepszą starszą siostrą, nie? - Uściskała Emmę. - Strasznie cię kocham. No i zobacz, co ja najlepszego zrobiłam. Zamęczam cię swoimi sprawami.

- Nic mi nie będzie. Teraz codziennie robię kilka kroków o własnych siłach. Ale tu mi mówią, że muszę jeszcze trochę poleżeć. Chcą mieć pewność, że wszystko jest okej. A ty i tak za długo zwlekałaś z tą decyzją. - Spojrzała na siostrę wymownie. - Zadzwoń do mnie z kliniki.

Porozmawiały jeszcze chwilę, po czym Rebecca wstała i poszła poszukać Cade'a.

Siedział za biurkiem na oddziale, tyłem do niej. Rozmawiał z jakimiś ludźmi. Podeszła i położyła mu rękę na ramieniu.

- Byłam właśnie u Emmy i pomyślałam, że wpadnę cię zobaczyć, jeśli oczywiście nie jesteś za bardzo zajęty.

- Dla ciebie zawsze mam czas.

- Ach, to państwo Tennysonowie, prawda? - Rozpoznała jego interesantów.

- Tak. Przyszliśmy podziękować wszystkim za opiekę, a doktorowi Byfieldowi za uratowanie Annie.

Oboje wyglądali znakomicie. Po wypadkowych obrażeniach nie było nawet śladu.

- Czujemy się lepiej - mówiła Jane, która wyglądała na bardzo szczęśliwą. - A Annie wprost kwitnie.

- Cieszę się. Nie przywieźliście jej z sobą?

- Jasne, że tak. Ale porwały ją pielęgniarki, chcą ją pokazać całemu szpitalowi.

A oto i ona.

Greta przyniosła Annie, która postawiona na podłodze natychmiast wyciągnęła rękę do Cade'a, by ją podniósł.

- Nie może się od pana odkleić. Jest pan jej ulubieńcem.

Cade przytulił dziewczynkę, połaskotał po brzuszku i nazwał swoim ślicznym aniołkiem.

Na ten widok Rebecce zakłuło coś w sercu. Tak bardzo chciałyby mieć dziecko...

- Jest cudowna - powiedziała, starając się trzymać emocje na wodzy.

Cade bujał Annie w górę i w dół, a ona śmiała się i żądała coraz więcej.

- Wystarczy, kochanie - powiedział po chwili. - Teraz mamusia chce cię potrzymać na rękach.

Gdy Tennysonowie odeszli, zwrócił się do Rebekki z propozycją pójścia do jego gabinetu. Dzień na oddziale ratunkowym był raczej spokojny.

- Co się dzieje, Becky? - zapytał, otwierając drzwi i patrząc na nią ukradkiem.

- Coś się stało? Chcesz porozmawiać?

- Ja... Tak - odparła, biorąc głęboki oddech.

Chciała mu oznajmić, że ich wspólna przyszłość może okazać się możliwa, ale widząc go z dzieckiem na ręku, zmieniła zamiar. Bo co będzie, jeśli zabieg się nie powiedzie?

- Postanowiłam wyjechać na trochę - powiedziała. - Chcę zobaczyć Barbados.

Ściągnął brwi.

- Kiedy jedziesz? Może wezmę kilka dni wolnego i pojedziemy razem?

- Nnnie... Jadę dzisiaj. To taka spontaniczna decyzja... Prom odjeżdża późnym popołudniem.

- Nie rozumiem. Przecież twoja siostra jest ciągle w szpitalu.

- Ale czuje się już lepiej. Mówi, że nie muszę się o nią martwić... I że William dotrzyma jej towarzystwa.

- Chwileczkę... A więc o to chodzi. - Wyglądał na coraz bardziej niezadowolonego. - O to, że William jest z Emmą, tak? A już myślałem, że z nim skończyłaś.

- Mówiłam ci, że nigdy nic mnie z Williamem nie łączyło - przerwała mu gwałtownie. - Lubię go jak kolegę. To ciebie pragnę. Kocham cię. Nie chciałam tego... bo to bez sensu - wyrzucała z siebie pośpiesznie. - Nie powinnam cię kochać, Cade. Nic dobrego z tego nie wyniknie. Nam się nie ułoży.

- Ale dlaczego? Tak nam z sobą dobrze, Rebecco. A jeszcze teraz, skoro mi mówisz, że mnie kochasz... Co stoi na przeszkodzie? Ja też cię kocham - szeptał, całując ją gorączkowo, jakby nie mógł jej wypuścić z ramion. Dłońmi błędził po całym jej ciele. - Wiem, że twój były cię rzucił, ale nie pozwól mu stanąć między nami. Ja cię kocham, ty mnie kochasz, co może pójść nie tak?

Na oddziale ratunkowym rozległ się sygnał alarmu, a pielęgniarka przez głośnik wzywała do chorego, którego przywiozła karetka.

Cade zeszywniał, ale nie wypuścił jej z objęć.

- Cade, prawda jest taka... Powiedziałeś, że chcesz założyć rodzinę. - Położyła

dłonie na jego piersi. – A ja ci tego nie mogę zapewnić. Mówiłam ci, że byłam chora. No i mam zrosty... Lekarze powiedzieli mi, że pewnie nie będę mogła zajść w ciążę. Nie wolno mi stawać na drodze twoim pragnieniom.

Patrzył na nią. Był w szoku.

– Nie możesz mieć dzieci? To straszna diagnoza! Dlaczego, u licha, wcześniej mi o tym nie powiedziałaś?

Wcześniej? Zanim się w niej zakochałam?

– Trudno mi powiedzieć. To dla mnie bolesny temat, nie umiałam się z nim zmierzyć. Zresztą nie miałam czasu. Byłam zbyt zajęta odwodzeniem siebie od pomysłu, że się w tobie zakocham.

– Z powodu tego, jak zareagował twój były?

Przytaknęła.

– Jak mu o tym powiedziałam, Drew poprosił o czas do namysłu, a potem twar- do oznajmił, że nie ma możliwości, żeby ze mną został, skoro nie mogę mieć dzieci. Bałam się, że od ciebie usłyszę to samo. Przepraszam.

– Musimy o tym porozmawiać – oświadczył. Drgały mu mięśnie twarzy. – To dla mnie szok, nie spodziewałem się tego. Nie miałem pojęcia. Słuchaj, teraz muszę iść do pacjenta, ale potem pogadamy. Powinnaś była mi powiedzieć, Rebecca – dokończył, patrząc na nią pociemniałymi z bólu i gniewu oczami.

– Wiem. Przepraszam.

Wyszła ze szpitala i udała się na plantację. Tam spakowała torbę i wezwała taksówkę. Nie będzie już korzystać z samochodu Cade'a. To byłoby niestosow- ne. Po resztę rzeczy przyśle kogoś później.

A więc między nimi koniec. Był tak zszokowany i zniesmaczony jej wyznaniem, że żadne słowa nic tu nie pomogą. Zasłużył na lepszy los. Na kobietę, która stworzy mu upragnioną rodzinę.

A ona musi samotnie nieść swoje brzemię.

– Dokąd, panienko? – zapytał taksówkarz.

– Na przystań poproszę.

Obejrzała się za siebie i wtedy dotarło do niej, co to naprawdę znaczy „mieć złamane serce”.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Otworzyła oczy i rozejrzała się po obcym pokoju. Przez chwilę nie mogła się zorientować, gdzie się znajduje, ale podeszła do niej uśmiechnięta pielęgniarka.

- A więc mamy cię z powrotem! Przeszłaś zabieg, a potem zasnęłaś na kilka godzin. Jak się czujesz?

- Chyba... dobrze.

- Super. Trzeba jeszcze trochę odczekać, aż narkoza przestanie działać. Odczuj sobie, a ja zmierzę ci ciśnienie. Trochę niskie - powiedziała pielęgniarka, odczytując je na monitorze. - Ale po zabiegu to normalne.

- Wiesz coś więcej? Jak było? - Rebecca starała się usiąść na łóżku mimo lekkiego oszołomienia.

Była obolała, a na brzuchu, w miejscu, gdzie był maleńki szew po nacięciu, miała opatrunek.

- Doktor Solomon za chwilę sam ci wszystko wyjaśni - odparła pielęgniarka. - Miałaś szczęście. To świetny lekarz, specjalista od chirurgii jajowodów.

- Tak też słyszałam.

Rebecca czuła się przygnębiona i samotna. Pozostawiona sam na sam z problemem. Zresztą czy kiedyś było inaczej?

- Może filiżankę herbaty?

- Chętnie, dzięki.

- I masz gościa. Czujesz się na siłach go przyjąć?

- Gościa?

Kto to może być? Tylko Emma wiedziała, gdzie jest. Becky zadzwoniła do niej wczoraj, by powiedzieć, że zabieg odbędzie się bezzwłocznie, bo akurat jest wolna sala operacyjna.

- Tak. Mówi, że przyjechał rano promem. Wygląda jak chmura gradowa, ale i tak jest piękny. Łaził tam i z powrotem, omal nie wywiercił dziury w podłodze w poczekalni. Nie mógłby to trochę powiercić w mojej podłodze? - Pielęgniarka wyszczerzyła zęby w uśmiechu. - Nazywa się doktor... To co, dwie filiżaneczki?

Co Cade tu robi?

- Nie spodziewałam się ciebie - powiedziała Becky, gdy bez słowa stanął w drzwiach. - Jak mnie znalazłeś?

Podszedł do łóżka.

- Spytałem Emmę. Zdziwiła się, że nic nie wiem. Ja zresztą też. Mieliśmy porozmawiać, ale zmyłaś się bez słowa.

- Okej, przepraszam. Możemy porozmawiać teraz.

- Chyba trochę za późno, nie? Coś ty sobie myślała? Tak odejść bez słowa?

- Bo ja wiem? - odparła smutno. - Po co było rozmawiać, skoro jestem bez-

plodna. Ja już przywykłam do tej myśli, ale ty nie mogłeś.

- Więc po prostu sobie poszłaś? Uznałaś, że to nie moja broszka? - Nerwowo zaciskał zęby, ściągnął usta. - Przecież ci mówiłem, że zawsze możesz na mnie liczyć, że ci pomogę. Uważasz, że to były puste słowa?

- Ludzie mówią różne rzeczy, kiedy ich to nic nie kosztuje. - Wzruszyła ramionami. - Drew przyrzekał mi miłość na całe życie, a dał dyla, jak tylko zachorowałam.

- Ja nie jestem Drew. Przestań mnie z nim porównywać.

- Ale dałeś mi do zrozumienia, że chcesz mieć dzieci, dużą rodzinę, jakiej brakowało ci w dzieciństwie. To co miałam myśleć, skoro nie mogę ci tego zapewnić?

- Powinnaś porozmawiać. Tak, chcę mieć rodzinę, ale kocham ciebie. Myślałaś, że o tym zapomnę, bo nie możesz spełnić moich zachcianek? Naprawdę uważasz mnie za takiego egoistę?

- Nie wiem, co o tobie myśleć. - Wzruszyła ramionami. - Usiądziesz czy nie? Przyjechałeś, żeby się ze mną kłócić? Całkiem niepotrzebnie, bo ja nie umiem się pogodzić sama z sobą.

Roześmiał się krótko, gwałtownie i nerwowo.

- Nie. Przyjechałem zobaczyć, jak się czujesz i udowodnić, że nie jestem jak twój eks. Będę przy tobie, Rebecca, niezależnie od tego, co się wydarzy.

Przełknęła gulę, która nagle stanęła jej w gardle. W oczach zabłyśły jej łzy.

- Nie oczekiwałam tego od ciebie - odrzekła stłumionym głosem. - Cieszę się, że jesteś, Cade.

Spletli dłonie.

- Jak zabieg? - zapytał.

- Jeszcze nie wiem. Chirurg ma zaraz przyjść, to mi powie.

Weszła pielęgniarka z herbatą na tacy.

- Proszę, częstujcie się. - Spojrzała na monitor i pogroziła pacjentce palcem. - Tętno ci wzrosło. To niedobrze, ale z drugiej strony trudno się dziwić. - Spojrzała na Cade'a, prychnęła i wyszła z pokoju.

Rebecca roześmiała się, trzymając się odruchowo za brzuch.

- Ona uważa, że jesteś piękny - wyjaśniła.

- A ty jak uważasz?

- Ogólnie rzecz biorąc, jesteś cudowny. Ale nie chcę, żebyś stał się zarozumiały.

- To mało prawdopodobne. Nie bardzo przejmuję się tym, co mówią ludzie. Jestem praktycznym człowiekiem. Lubię wiedzieć, na czym stoję, planować i realizować swoje plany.

- To bywa trudne. Plany sobie, a życie sobie.

- To też prawda.

Rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju wszedł doktor Solomon, wysoki mężczyzna w eleganckim ciemnym garniturze.

- Witam! Miło mi widzieć pacjentkę już na siedząco i trochę mniej bladą. Mo-

żemy porozmawiać o rezultatach zabiegu?

- Oczywiście, proszę usiąść.

- Mam wyjść? - zapytał Cade. - Mogę poczekać na zewnątrz.

- Nie. - Pokręciła głową. - Nawet wolę, żebyś został.

Lekarz usiadł. Miał bardzo poważny wyraz twarzy, toteż Rebecca spodziewała się najgorszego.

- Wczorajsze badania wykazały, o czym już rozmawialiśmy, obecność zrostów wokół jajników i obydwu jajowodów, które praktycznie nie są w stanie funkcjonować.

- Tak... - szepnęła.

- Jak mówiłem, przy tak wielu zbliznowaceniach terapia nie jest łatwa, ale zrobiliśmy, co było w naszej mocy.

- I...?

- Dobra wiadomość jest taka, że przynajmniej jeden z jajników został całkowicie odblokowany.

Westchnęła z ulgą. To daje przynajmniej nadzieję na sukces, jeśli chodzi o in vitro.

- A jeden z jajowodów był zrosnięty w taki sposób, że łatwo go było udrożnić. A to oznacza, że mając jeden zdrowy jajnik i jeden drożny jajowód, ma pani większe szanse na zajście w ciążę. Określiłbym je na poziomie czterdziestu do pięćdziesięciu procent.

Uśmiechnęła się. To zawsze lepsze niż zero.

- Dziękuję, doktorze, za wszystko co pan dla mnie zrobił. I za to, że przyjął mnie pan tak szybko.

- Cieszę się, że mogłem pomóc. Akurat ktoś zrezygnował i mogłem panią operować natychmiast. - Zerknął na monitory. - Będziemy jeszcze kontrolować temperaturę i ciśnienie i jeśli nic nie będzie się działo, wypiszemy panią do domu. Pielęgniarka przekaże pani instrukcje w sprawie leczenia poszpitalnego. A jak pojawią się problemy, zapraszamy ponownie.

Wyszedł, a wtedy Cade usiadł na łóżku i ścisnął jej dłoń.

- Dobrze zrobiłaś, że tu przyszłaś. Szkoda tylko, że mi nie powiedziałaś. Powinnaś bardziej mi ufać.

Delikatnie pocałował ją w usta.

Kilka godzin później Rebecca opuściła klinikę w towarzystwie Cade'a. Taksówką pojechali do portu i prawie natychmiast wsiedli na prom na St Marie-Rose.

W czasie podróży sączyli sok z mango i raczyli się plastrami schłodzonego melona.

- Umieszczę cię teraz na tyłach domu, żebyś miała jak najwięcej spokoju w czasie, kiedy będziesz zdrowieć - snuł plany Cade. - Oczywiście Emmę będziesz widywać, kiedy tylko zechcesz. Ja albo Benjamin będziemy cię do niej wozić.

- Dzięki. Bardzo już bym chciała ją zobaczyć. Ale jak wróci do chaty, muszę

być przy niej. Ktoś jej musi doglądać w czasie rekonwalescencji.

- A ty? Przecież sama dopiero wyszłaś ze szpitala. Obie powinnyście zamieszkać na plantacji. Tam jest wygodniej, a i Harriet z radością obsłuży większą liczbę stołowników.

Po tygodniu czuła się już trochę lepiej. Niewielka rana po laparoskopii dobrze się goiła. Odwiedziny u Emmy w szpitalu przyniosły kolejną dobrą wiadomość: siostra już wkrótce będzie mogła zostać wypisana.

- Dom na plantacji? Cudownie! - Emma była podekscytowana zaproszeniem. - No i będę bliżej Williama, no nie? On podobno ma tam gdzieś w pobliżu domek.

Cade zaczął powoli przewozić rzeczy Emmy z jej chaty do swojego domu. Chyba lubił mieć gości. Wybór pokoju dla siostry zostawił Rebecce.

- Mówiłem ci o tym barbecue na plaży, pamiętasz? - zagadnął ją. - To właśnie dziś. Chyba już pora na trochę dobrej zabawy, co? O ile oczywiście czujesz się na siłach.

- Hurra! - zawołała entuzjastycznie.

Nie bardzo wiedziała, w co się ubrać, ale w końcu udrapowała na sobie babczynie kolorowy sarong. Włosy upięła wysoko, dzięki czemu kaskada loków spływała jej na ramiona i delikatnie okalała twarz.

- Och, Rebecca... wyglądasz oszałamiająco - zawołał Cade, gdy zeszła na dół. - Jesteś taka śliczna...

- Cieszę się, że tak uważasz. Nie bardzo wiedziałam, jak należy się ubrać na takie przyjęcie.

- Nieważne, i tak będziesz tam najpiękniejsza. Ostrzegam, że nie spuszczę cię z oka.

Roześmiała się, po czym razem wsiedli do taksówki. Po kilku minutach byli na plaży.

Zachodzące słońce kreśliło złoty łuk na niebie, którego kolor stopniowo przechodził z błękitu w róż.

Po chwili otwarty został bar, w którym podawano poncz z rumu i owoców oraz pinakoladę. Rozpalono wielkiego grilla, a wkrótce w powietrzu zaczęła unosić się woń smakowitych steków i kurczaków.

Rebecca nie mogła powstrzymać się przed spróbowaniem wszystkiego: owoców morza, wrapów, wieprzowiny.

- Mniam! - mruzczała. - Uwielbiam karaibską kuchnię. A na deser zjem te kokosowe ciasteczka!

Rozległy się pierwsze melodie i ludzie zaczęli tańczyć. Również Cade i Rebecca kołysali się w rytm muzyki kalipso i reggae.

Gdy na falach zaczęło się skrzyć światło księżycy, Cade przytulił ją mocniej i czule pocałował.

- Kocham cię - powiedział. - Wyjdiesz za mnie?

- Ja też cię kocham. I pragnę zostać twoją żoną.

Westchnął, jego twarz rozjaśniła się w uśmiechu. Pochylił głowę i namiętnie

pocałował ją w usta. Przywarła do niego, obejmując go ramionami.

- Na pewno to przemyślałeś? - spytała po chwili. - Miałam zabieg, ale nie ma żadnej gwarancji, że będę mogła mieć dziecko.

- Chcę z tobą być - odparł, prowadząc ją za rękę w kierunku wody. - Jeśli będą z tego dzieci, to wspaniale. A jeśli nie, też jakoś sobie poradzimy. W końcu są adopcje, można także jakoś inaczej zaspokoić potrzebę rodzicielstwa...

Spojrzał na nią.

- Możesz na przykład wrócić do pracy z dziećmi. Masz im wiele do zaoferowania, Rebecca. Masz szansę znów być szczęśliwą. Oboje mamy tę szansę.

- Tak, przy tobie mam szansę na szczęście.

Objął ją w pasie i razem szli po piasku, oddalając się od dźwięków karaibskich bębnów.

- Będzie nam razem dobrze - powiedział. - Czuję to. Czekałem na ciebie przez całe życie.

A tyle jeszcze życia przed nimi. I tyle miłości.

EPILOG

- Rebecco, pani od cateringu pyta, gdzie postawić duży kosz z owocami.

Cade zmarszczył brwi, a Rebecca się uśmiechnęła. Człowiek, któremu nie-straszne były żadne nagłe przypadki, niespodziewanie, w obliczu zorganizowania wesela kuzyna, okazywał dziecięcą bezradność.

Oczywiście było mnóstwo zamieszania. Jego dom na plantacji zapełnił się gośćmi - rodziny nowożeńców stawily się w komplecie. Niektórzy mieli zamiar zostać kilka tygodni.

- Powiedz jej, że najlepiej będzie się prezentował na stoliku w końcu sali. Tym pod markizą.

- Okej. - Podeszedł i położył rękę na brzuchu Rebekki. - Jak się dziś miewa nasz brzuszek? Ojej, ależ kopie!

Przez chwilę stał nieruchomo, czekając na następne ruchy swojego syna.

- Zgadza się, cały ranek - odparła. - Musi być mu tam ciasno. Że też William i Emma muszą się pobierać akurat teraz. - Spojrzała na swój wielki brzuch. - Chciałam się wystrzałowno ubrać.

- I tak jesteś piękna. A w ten sposób nasz chłopak będzie obecny na ślubie swojej ciotki.

- Tak, ale z następnym musimy się jakoś lepiej wstrzelić - odparła roześmiana. Objął ją i delikatnie pocałował.

- Każdy moment jest dobry, żeby nasze dziecko przyszło na świat.

Tytuł oryginału: Her Holiday Miracle
Pierwsze wydanie: Harlequin Mills & Boon Limited, 2016
Redaktor serii: Ewa Godycka
Korekta: Urszula Gołębiowska

© 2016 by Joanna Neil
© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o. Warszawa 2017

Wydanie niniejsze zostało opublikowane na licencji Harlequin Books S.A.
Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne.

Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych - żywych i umarłych - jest całkowicie przypadkowe.

Harlequin i Harlequin Medical są zastrzeżonymi znakami należącymi do Harlequin Enterprises Limited i zostały użyte na jego licencji.

HarperCollins Polska jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Ilustracja na okładce wykorzystana za zgodą Harlequin Books S.A.

Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.
02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B, lokal 24-25

www.harlequin.pl

ISBN: 978-83-276-2828-2

Konwersja do formatu MOBI:
Legimi Sp. z o.o.

Spis treści

Strona tytułowa
Rozdział pierwszy
Rozdział drugi
Rozdział trzeci
Rozdział czwarty
Rozdział piąty
Rozdział szósty
Rozdział siódmy
Rozdział ósmy
Epilog
Strona redakcyjna